W numerze: Z dyskusji nad nowym systemem bodźców ● MIECZYSŁAW BANDURKA **Nim Łódź stała się ośrodkiem akademickim** ● TERESA WOJCIECHOWSKA **O pożytkach z ziół płynących** ● BOGDA MADEJ **Sklep z wyobraźnią** ● IGOR SIKIRYCKI **Tadek** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

24. V. 1970 r.
21 (653)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

BOHDAN DROZDOWSKI

Albion od środka

(Fragmenty dziennika)

16 czerwca

Mimikra arystokracji. Drugi syn księcia Gloucester, książę Ryszard (jak to brzmi szekspirowsko: Prince Richard of Gloucester! Jednak), kończący obecnie architekturę na uniwersytecie w Cambridge, udostępnił zajmowany przez siebie dom organizacji lewicowej na kwaterę główną... Na ścianach domu pojawiły się plakaty z podobizną Che Guevary... Ta lewicowa organizacja urządziła ostatnio czterodniowy festiwal pop-artu, narażając się na skargi sąsiadów za czyniony hałas i nieprzyzwoite tańce francuskiej dziewczyny, która popisywała się w środku dużego tłumu w stroju topless (a piersi miała przepiękne, muszę przyznać). Policja dokonała najazdu na tę główną kwaterę zaraz po ustabilizowaniu się owej organizacji lewicowej w domu księcia Ryszarda (lat 24) i aresztowała pewnego szkockiego muzyka za posiadanie narkotyków. Członkowie organizacji zajmują się w wolnych od hałasowania chwilach demonstracjami przeciwko władzom uniwersytetu. Jej oficjalna nazwa brzmi: Federacja Rewolucyjnych Studentów Socjalistycznych. Federacja wydaje pismo pod tytułem „One Shilling Paper" — Gazeta za Jeden Szyling. Niejaki Andy Page, typ wiecznego studenta — mówiący o sobie, że znajduje się w stanie bezterminowego urlopu (dziekańskiego), powiada że jego przyjaciel, książę Ryszard jest żywo zainteresowany rodzajem działania Federacji, a ponieważ po czerwcu nie będzie już potrzebował swego domu, postanowił ofiarować go na jakiś cel użyteczny. Jedyne, czego młody książę nie lubi, jest hałas, więc organizacja lewicowa mu-

Dalszy ciąg na str. 4

Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś

Z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego prof. dr Zdzisławem Skwarczyńskim rozmawia Konrad Frejdlich

— Panie Rektorze, w ostatnich tygodniach „Odgłosy" poświęciły sporo miejsca na przypomnienie tradycji Uniwersytetu Łódzkiego. Wypowiadali się na naszych łamach tak wybitni uczeni, a zarazem organizatorzy życia naukowego jak profesorowie: Kotarbiński, Chałasiński, Szczepański i Szpunar...

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Śledziłem z uwagą te wypowiedzi. I myślę, że „Odgłosowy" cykl „Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś" ułatwi nam nieco rozmowę. Zwalnia nas od przypominania początków, a przecież w ciągu dwudziestu pięciu lat istnienia uczelni wydarzyło się niemało.

Dzięki stworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego awans łódzkiej klasy robotniczej stał się pełny, kompletny. I to jest najważniejsze, ważniejsze niż nasz skromny jubileusz.

Warto więc zastanowić się, co stanowi o tym awansie. Przywykliśmy patrzeć na Uniwersytet Łódzki głównie jako na ośrodek myśli humanistycznej. Czy jednak takie widzenie nie pomniejsza nieco rzeczywistego obrazu tej uczelni?

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Uniwersytety tradycyjnie uważa się za ośrodki myśli humanistycznej i jest w tym wiele prawdy, ale trzeba ją dopowiedzieć do końca. Bo uniwersytet jest raczej ośrodkiem myśli teoretycznej i prowadzonych w różnych kierunkach badań podstawowych. Można to wyraźnie uchwycić przyglądając się strukturze organizacyjnej uczelni. Przecież spośród sześciu wydziałów Uniwersytetu Łódzkiego przynajmniej dwa mają charakter — tradycyjnie nazywany ścisłym i przyrodniczym. Mam tu na myśli Wydział Matematyczno-Fizyczno-Chemiczny oraz Biologii i Nauk o Ziemi. A i pozostałe wydziały nie w całej pełni odpowiadają pojęciu czystej humanistyki. Może słuszniej byłoby mówić o humanistyce stosowanej, która stawia sobie praktyczne cele.

Taki praktyczny charakter ma w swojej ogromnej części Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny. I myślę, że odgrywa on poważną rolę nie tylko w życiu Uniwersytetu, podobnie zresztą jak nauki historyczne obejmujące w dużej mierze Wydział Filozoficzno-Historyczny i Filologiczny. Przecież ich funkcja, w największym stopniu polega na kształtowaniu świadomości społecznej. To wszystko można odnieść także do Wydziału Prawa czy Ekonomii. Inaczej, rzecz prosta, kształtują tę świadomość społeczną historycy, pedagodzy, historycy i teoretycy literatury, teatrologowie czy filmolodzy odwołu-

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

„Zakończyliśmy prace o istotnym znaczeniu dla dalszego przebiegu procesu, który w dużym skrócie myślowym nazywamy integracją, a który to proces nie polega przecież tylko na kojarzeniu dużych ilości elementów, dotyczących kwestii planowania, produkcji przemysłowej, postępu naukowo-technicznego, wymiany handlowej i innych czynników o charakterze ekonomicznym. Co bowiem ważne — polega on także na kojarzeniu w jedną całość interesów poszczególnych państw, z równoczesnym uwzględnieniem najżywotniejszych interesów krajów współnoty socjalistycznej jako całości".

Te słowa premiera Cyrankiewicza wypowiedziane na przyjęciu z okazji XXIV sesji RWPG lapidarnie podsumowują 3-dniowe warszawskie obrady krajów członkowskich. Delegacjom przewodniczyli premierzy rządów.

Jakie są najistotniejsze postanowienia sesji?

Zaakceptowanie przez 7 krajów projektu umowy o powołaniu Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego, którego zadaniem będzie udzielanie kredytów przeznaczonych przede wszystkim na realizację zamierzeń, wynikających z międzynarodowego podziału pracy oraz powzięcie decyzji o utworzeniu Międzynarodowego Instytutu Problemów Ekonomicznych. Instytut ten będzie miał za zadanie przygotować kompleksowe opracowania problemów ekonomicznych w celu dalszego pogłębiania i umacniania współpracy krajów członkowskich. Sesja stwierdziła ponadto potrzebę rozpatrzenia w najbliższym czasie „konkretnych problemów współpracy w sferze produkcji materialnej".

Warszawskie obrady wzbudziły duże zainteresowanie prasy, i to nie tylko w świecie socjalistycznym. Zaroiło się od komentarzy także na zachodzie Europy, jako że kraje kapitalistyczne żywo śledzą wspólne decyzje RWPG, zmierzające do integracji. Prasa tych krajów podkreśla, że uczyniono dalszy krok naprzód w dziedzinie koordynacji, zwracając uwagę zwłaszcza na powołanie banku inwestycyjnego — jako element rzeczywistego postępu.

Komentarze wywołuje także oświadczenie szefów rządów ośmiu państw socjalistycznych na temat sytuacji w Indochinach, przyjęte w Warszawie.

„Nie jest dziełem przypadku — czytamy w tym oświadczeniu — że napaść na Kambodżę została poprzedzona usunięciem prawowitego szefa państwa Norodoma Sihanouka, który przez wiele lat prowadził politykę pokoju i nieugięcie bronił neutralności, niezależności, wolności oraz integralności terytorialnej swego kraju".

„Odpowiedzialność za konsekwencje rozszerzenia agresji amerykańskiej w Indochinach — konkluduje oświadczenie — spadnie całym ciężarem na rząd Stanów Zjednoczonych. Rządy państw socjalistycznych... oświadczają, że będą nadal udzielać koniecznego poparcia narodom Wietnamu, Laosu i Kambodży oraz wyrażają swą niezłomną wiarę w zwycięstwo ich słusznej walki".

Prasa kapitalistyczna uwypukla zdecydowanie, jakie przebija ze słów oświadczenia oraz zastanawia się nad następstwami amerykańskiego kroku, który — jak podkreślają premierzy ośmiu rządów socjalistycznych — „stwarza zagrożenie dla rozwiązania wielu palących problemów międzynarodowych".

Jak agresja amerykańska w Kambodży wpłynie na rozmowy w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych, przebieg prac Komitetu Rozbrojeniowego oraz dyskusję przedstawicieli czterech mocarstw na temat Berlina zachodniego? — oto najczęściej powtarzające się pytania. Są one oczywiście jak najbardziej uzasadnione, ponieważ każda z kwestii, o których dyskutują w Wiedniu, Genewie i Berlinie może być rozstrzygana tylko w atmosferze wzajemnego zaufania. Że zaś wkroczenie wojsk USA do Kambodży takiemu zaufaniu nie sprzyja — nie trzeba dodawać.

Ze zwiększonym niepokojem obserwujemy nie tylko sytuację w Indochinach, lecz także na Bliskim Wschodzie. W ostatnich dniach Izrael dokonał trzynastego i największego zarazem ataku na Liban. O powadze tego aktu świadczyć może zebranie się Rady Bezpieczeństwa, która o sytuacji na Bliskim Wschodzie nie dyskutowała od lata ub. roku.

Raz jeszcze Izrael znalazł się pod ogniem ostrej krytyki i raz jeszcze była ona adresowana również do Stanów Zjednoczonych, które swoim postępowaniem unie możliwiają położenie kresu bliskowschodniemu napięciu. Gdyby bowiem Waszyngton przyjął zasadę całkowitego wycofania się agresora na obszary sprzed czerwca 1967 roku, wszystkie problemy w tym rejonie dały by się rozwiązać, jak zauważył delegat radziecki — Malik, „w ciągu kilku następnych dni".

Z innych wydarzeń minionego tygodnia wymieńmy jeszcze zjazd SPD i ponowny wybór, nieomal jednomyślnie, Willy Brandta na przewodniczącego partii.

Na zjeździe z ust kanclerza NRF znów padło kilka godnych pozytywnego odnotowania stwierdzeń, jednak w dalszym ciągu nie zdecydował się on na konsekwentne w ślad za tym działanie. Bo przecież opowiedzenie się przeciwko „przesuwaniu słupów granicznych" „ani w latach siedemdziesiątych, ani też później" nie jest wciąż jednoznacznym uznaniem istniejących granic.

W. SŁAWSKI

Według starych wzorów...

„FIGARO" — PARYŻ

Nie ustają obławy i aresztowania w wietnamskich osadach, leżących w okolicach Phnom Penh, jak również w dzielnicach wietnamskich w samej stolicy.

Tylko w jednej dzielnicy zamieszkałej przez Wietnamczyków naliczyłem co najmniej 50 samochodów ciężarowych i wojskowych autokarów. Jeżeli przyjąć, że w każdym z nich znajdowało się przeciętnie 40 aresztowanych, to ogółem aresztowano tutaj około dwóch tysięcy osób. Kiedy wojsko przeczesuje dzielnice, policja obstawia wszystkie ulice. Aresztują każdego, kto tylko podwinie się pod rękę.

Zatrzymanych przewozi się ciężarówkami na punkty „zborne". Prawdopodobnie właśnie w tych obozach, rozrzuconych niedaleko Phnom Penh i otoczonych zasiekami z drutów kolczastych, znajduje się większość aresztowanych Wietnamczyków. Gniją tam za życia, oczekując na skąpe racje żywnościowe, na co zresztą istnieje mała nadzieja.

Oto jeszcze jeden epizod tragedii, którą zgotował całej Kambodży rząd Lon Nola. Policjanci ubrani w cywilną odzież wtargnęli do szpitala. Pochwycili lekarza — Wietnamczyka i zakuli go w kajdanki. Personel szpitala próbował interweniować, zapewniając policjantów, że lekarz nie miesza się do polityki, że interesują go wyłącznie jego chorzy. Jednakże policjanci wepchnęli go do samochodu więziennego, nie mając nawet nakazu aresztowania.

Zdarzyło się to jakieś dwa dzieścia kilometrów od kambodżańskiego miasta Kompongtiam, leżącego nad brzegiem Mekongu, na północny-wschód od Phnom Penh. Lekarza odwieziono do szta bu wojskowego w Kompong tiam, gdzie zostanie przesłuchany i internowany. Jego życie znajduje się teraz w niebezpieczeństwie.

Byliśmy na posterunku policji, na posterunku wojsk prowincjonalnych, w komendzie i wreszcie w obozie, gdzie są internowani Wietnamczycy. Zrozumieliśmy jak działa antywietnamski mechanizm w Kompongtiam...

Na starym stadionie miejskim „zgrupowano" trzystu Wietnamczyków. Otoczono ich drutem kolczastym. Komendant policji zabronił nam rozmawiać z więźniami.

— „Zbieramy całą ludność wietnamską tego rejonu" — powiedział nam. — „Są to prewencyjne zarządzenia bezpieczeństwa"...

— „Czy wobec niektórych spośród nich stosujecie jakieś ostrzejsze sankcje" — spytałem go.

— „Podejrzani podlegają rygorom o stanie wojennym" — odpowiedział.

Na stadion wpada dżip. Zastępca gubernatora, ubrany po wojskowemu, z pośpiechem transportuje nas do komendy policji. Wyraźnie nie życzy sobie, abyśmy dłużej przebywali na terenie obozu.

Ów zastępca gubernatora mówi mi, że zarządzenia „prewencyjne" rozciągają się na wszystkich Wietnamczyków, których należy dotąd pilnować, aż w Kambodży zapanuje pokój.

— „Powinniśmy się bronić przed naszymi wrogami"... Daje mi do zrozumienia, że ogromna część Wietnamczyków, których uważa się za „polityków", jest skazana na śmierć...

Zeznania więźnia

ASSOCIATED PRESS — NOWY JORK

Pewien palestyński student, który dwa lata przesiedział w więzieniach izraelskich, opowiadał, że dozorcy więzienni bili uwięzionych, szczuli na nich psy i poddawali torturom, wymuszając zeznania.

Postawiony przed trzyosobową komisją Organizacji Narodów Zjednoczonych, która prowadzi śledztwo w sprawie naruszania praw człowieka na terytoriach okupowanych przez Izrael po wojnie 1967 roku, Ahmed Halifa powiedział:

„Bili mnie, szczuli na mnie psy".

Halifa, który przerwał studia w Kairze i przybył do Jerozolimy po zakończeniu wojny w 1967 roku, aby prowadzić działalność organizacyjną wśród Palestyńczyków, przez dwie godziny opowiadał biegle po angielsku, nie posługując się notatkami.

Powiedział on, że aresztowano go 3 stycznia 1968 roku, kiedy to Izraelczycy oskarżyli go o działalność w organizacjach nielegalnych. Został uwolniony w styczniu 1970 roku.

Po wstępnym śledztwie — opowiadał Halifa — w centralnym więzieniu w Jerozolimie przewieziono go do więzienia w Sarafand, gdzie spotkał jednego ze swych przyjaciół; twarz jego pokrywały siniaki. Halifa powiedział także, iż pewien oficer izraelski przyznał, że Sarafand — to obóz tortur.

Gdy przybył do Sarafand, jakiś wojskowy Izraelczyk uderzył go w głowę i powiedział: „Jak się nazywasz? Ahmed Halifa? Nie jesteś tutaj Ahmedem Halifa. Zapomnij o swoim nazwisku, odtąd jesteś numerem 315. Rozumiesz?"

Kiedy go wraz z innym jeszcze więźniem przewożono z jednego więzienia do drugiego, żołnierze izraelscy rzucili ich twarzami do podłogi ciężarówki, zaczęli się nad nimi znęcać i kopać nogami.

„W odpowiedzi na nasze protesty — opowiadał Halifa — śmiali się i ubliżali nam".

Ów palestyński student stwierdził, iż trzymano go w kilku więzieniach izraelskich, w których karmiono uwięzionych bardzo podle, nie dano im ubrań i nie pozwolono na odwiedziny krewnych. Władze izraelskie nie zezwoliły komisji ONZ na inspekcję terenów okupowanych.

Lakier na zęby

„SPIEGEL" — HAMBURG

Cztery tony zębów rocznie usuwają dentyści brytyjskiej młodzieży szkolnej (jeden ząb waży średnio ok. 2 gramów). Ponad 200 milionów marek rocznie wydają obywatele NRF na leczenie zębów i uzupełnianie ubytków — wstawianie koronek, mostków i protez.

Niemniej lekarze-dentyści mają nadzieję, że już w bieżącym dziesięcioleciu uda się zahamować proces próchnicy zębów. Pracownicy jednego z amerykańskich instytutów stomatologicznych opracowali technologię produkcji plastyku-lakieru, którym pokrywa się zęby, chroniąc je od procesów gnilnych.

Stwierdzono, iż schorzenia zębów są uzależnione od rodzaju pożywienia, a w szczególności od produktów zawierających węglowodany.

W starożytności, jak to wykazały badania amerykańskiego patologa Armelagosa, wśród Nubijczyków gwałtowne rozpowszechnienie próchnicy nastąpiło w wyniku zmiany obyczajów plemiennych, związanych z przyjęciem chrześcijaństwa, co pociągnęło za sobą również zmiany w pożywieniu. Uczony zbadał ogółem 800 szkieletów Nubijczyków. Co szósty Nubijczyk, żyjący 1500 lat temu miał próchnicę zębów. Natomiast 700 lat p.n.e. próchnicę zębów miał zaledwie jeden Nubijczyk na stu.

Od tego czasu ta swoista „dżuma zębów", która powoduje — jak się przypuszcza — bóle w okolicach serca oraz zaburzenia w układzie krwionośnym, rozprzestrzeniła się po całym świecie. Według aktualnych danych Międzynarodowej Organizacji Zdrowia, każdy Europejczyk i każdy mieszkaniec Stanów Zjednoczonych — mają co najmniej jeden ząb dotknięty próchnicą.

Uczeni rozważali projekt wprowadzenia do wody do picia lotnego składnika fluoru, który wzmacnia emalię zębów i przeciwdziała procesowi chorobowemu. Emalia zębów ulega zniszczeniu pod wpływem kwasów, wydzielających się z resztek pożywienia i bakterie łatwo przenikają do tkanki zębowej. Jednakże poważne koszty, jak również negatywny stosunek opinii publicznej do tego rodzaju metody profilaktycznej powstrzymały zamiar fluoryzowania wody do picia, chociaż uczeni w dalszym ciągu obstają przy swoim.

Dziś specjaliści są przekonani, iż wynaleziony lakier do pokrywania zębów położy wreszcie kres próchnicy. Taki zabieg trwa 15 minut: po oczyszczeniu zębów i przemyciu rozcieńczonym kwasem fosforowym, pokrywa się je lakierem. Po krótkotrwałym naświetleniu promieniami ultrafioletowymi cieniutka, bezbarwna warstewka lakieru twardnieje i skutecznie chroni emalię zębów.

Eksperyment wyjątkowo niebezpieczny

„NEW YORK TIMES" — NOWY JORK

Awaria na statku kosmicznym na drodze między Ziemią a Księżycem musiała kiedyś nastąpić. Ogromne niebezpieczeństwo długotrwałego lotu w najbardziej trudnych warunkach, zawsze zagrażająca ewentualność defektu jednego z milionów precyzyjnych urządzeń statku kosmicznego „Apollo", nieustanna groźba popełnienia błędu przez człowieka — wszystko to powoduje, że loty na Księżyc są eksperymentem wyjątkowo niebezpiecznym.

Zdumiewa nie to, że złowieszcze niebezpieczeństwo tej podróży ujawniło się podczas lotu statku kosmicznego „Apollo-13", ale to, że niebezpieczne loty statków kosmicznych „Apollo-8", „Apollo-9", „Apollo-10", „Apollo-11" i „Apollo-12" zakończyły się szczęśliwie.

W tym dramatycznym locie, niewiarygodnie zimna krew kosmonautów: Lovella, Haise'a i Swigerta, stojących w obliczu śmierci, była wspaniałym przykładem ludzkiego męstwa, godnego najwyższego podziwu i szacunku.

W formalnym sensie lot „Apollo-13" wejdzie do historii, jako nieudany. Jednakże nauki płynące z tej nieomal katastrofy posłużą w przyszłości do uratowania z ciężkich opresji i tych podróżników w kosmosie, którzy się jeszcze nie narodzili. Ciężkie doświadczenia „Apollo-13" powinny jeszcze bardziej niż dotąd nakierować twórczą myśl ludzką na rozwiązanie problemu kosmicznej organizacji ratowniczej, która by dysponowała rakietami, załogami kosmonautów oraz innymi środkami, niezbędnymi dla okazania pomocy ludziom podróżującym w kosmosie, którzy w pewnej chwili znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Awaria pojazdu kosmicznego przypomniała zarówno specjalistom jak i społeczeństwu, że lot na Księżyc nie odbywa się według utartych szablonów. Lot „Apollo-13" był groźną lekcją, za którą na szczęście nie trzeba było zapłacić życiem trzech wyjątkowo odważnych, wspaniałych ludzi.

Listy do redakcji

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

W moim artykule pt. „Autoportret Orsona Wellesa" znalazło się kilka błędów.

1. Jeden z cytowanych na początku krytyków nazywa się Sarris, nie Barris, jak wydrukowano.

2. „Wojna światów" nadana została 30 października, nie sierpnia, 1938 roku; autorem adaptowanej powieści jest H. G. Wells, nie Welles.

3. Wycięta z artykułu interpretacja reżyserowanego i granego przez Wellesa „Otella", którą dał Parker Tyler i która miała poprzedzać bajkę o skorpionie i żabie — powiada, że Wellesa "chłopięcy" Otello wydaje się niesłychanie nowoczesny, ponieważ nasuwa wyjaśnienie psychoanalityczne. Zdając sobie z tego sprawę, czy nie, Otello chce uwierzyć w niewierność Desdemony, bo niemniej niż ocalić, pragnie „zabić rzecz, którą kocha".

Chciałabym dodać, że zamieszczony fotos pochodzi wprawdzie z filmu „Falstaff", nie przedstawia jednak Orsona Wellesa.

Łączę wyrazy szacunku

JOLANTA MACH

Dalszy ciąg ze str. 1

jący się do tradycji, sięgający w przeszłość, a inaczej prawnicy czy socjologowie, którzy są nastawieni na rozwiązywanie rozmaitych zagadnień współczesnych, ale przecież poszukiwania wszystkich tych dyscyplin podporządkowane są temu samemu celowi: kształtowaniu rozumnego. świadomego człowieka, członka społeczności socjalistycznej. Jeśli chodzi o nauki ścisłe i przyrodnicze, to w nich przeszłość odgrywa rolę zwłaszcza wtedy, gdy ma znaczenie współcześnie. Dla geografa, na przykład, znajomość epok geologicznych jest ważną wskazówką na temat rzeźby terenu. Na wydziale chemicznym prowadzi się badania podstawowe i tym się

Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś

Prof. dr Zdzisław Skwarczyński

różnimy od podobnego wydziału Politechniki, gdzie główny akcent położony jest na zagadnienia technologii. Prowadzimy także podstawowe badania biochemiczne, fizyczne, różnego rodzaju badania biologiczne, ekologiczne. Zresztą nie sposób wyliczyć wszystkie kierunki działalności Uniwersytetu Łódzkiego.

Wracając zaś do sprawy awansu łódzkiej klasy robotniczej dzięki powstaniu Uniwersytetu, trzeba pamiętać o tym, że chodzi tu z jednej strony o szeroki dostęp młodzieży robotniczej do nauki, z drugiej zaś o związki, jakie łączą uczelnię z miastem, którego prestiż w Polsce wzrósł niewątpliwie w dziedzinie nauki i kultury. A jest to przecież nie tylko prestiż, jest to uczestnictwo w kulturze najszerszych rzesz łodzian.

Z tego co Pan powiedział, nie wynika przecież, że tak zwana czysta humanistyka została zdegradowana do roli kopciuszka. Jakie miejsce w działalności Uniwersytetu Łódzkiego zajmują nauki ściśle humanistyczne?

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Wprawdzie termin humanizm wprowadzony został dopiero w wieku XIX, ale humaniści i myśl humanistyczna towarzyszą ludzkości od zarania jej dziejów. Nic też nie wskazuje na to, aby myśl ta się przeżyła. W naszych warunkach ustrojowych nabiera ona nawet wyższej rangi, bo przecież humanizm socjalistyczny ma na celu wielostronny i pełny rozwój człowieka.

Humanistyka łódzka, nie zapominając o tym szczytnym ideale, chce służyć środowisku swoimi dociekaniami. Historycy, na przykład, zrobili bardzo dużo, jeśli chodzi o zbadanie przeszłości regionu, zarówno dalszej jak i stosunkowo niedawnej. Badania te miały na celu poznanie procesu kształtowania się Łodzi jako miasta przemysłowego oraz tworzenia się klasy robotniczej. Objęto nimi także miasta sąsiednie. Zostały wysoko ocenione, stały się wzorem dla innych ośrodków uniwersyteckich w naszym kraju. Piękne sukcesy mają także nasi archeologowie. Ich poszukiwania, wykraczające daleko poza obszar regionu, przyniosły materiały, które posłużyły do syntetycznego ujęcia przeszłości. Dyscypliny filologiczne sporo uczyniły dla poznania właściwości regionu. Pod względem językowym był to przecież obszar, na którym ścierały się wpływy Wielkopolski, Mazowsza a nawet Małopolski. Badano także właściwości języka samych łodzian. Dzięki temu powstały szczegółowe studia dialektów, a także atlasowe opracowanie języka części regionu łódzkiego. Prowadzone były wnikliwe badania języka niektórych pisarzy i warto podkreślić, że w Łodzi znajduje się jedna z pracowni „Słownika Mickiewiczowskiego". W zakresie historii literatury zrobiono wiele, gdy chodzi o piśmiennictwo wieku XVII, a także XVIII i w. XIX, (romantyzm i literatura krajowa). Zajmowano się także tendencjami prepozytywistycznymi i sporo uwagi poświęcono pisarzom regionalnym (Bartkiewicz, Reymont, Tuwim). Prowadzone były również badania czasopiśmiennicze i teatralne. Badania te wymagają jeszcze uzupełnień i będą rozwijane. Warto jednak zasygnalizować, że zaplanowane są monografie regionalnych czasopism i głównych postaci literackich, przy edytorskiej pomocy Wydawnictwa Łódzkiego. Pamiętajmy też, że na naszym Uniwersytecie powstało podstawowe dzieło z zakresu teorii literatury. Rezultaty badań humanistów są zresztą systematycznie ogłaszane w czasopismach lokalnych i ogólnopolskich. Historycy literatury wydają „Prace Polonistyczne" o zasięgu krajowym, a czasopismo „Zagadnienia Rodzajów Literackich", wielojęzyczne, ma charakter międzynarodowy. Bardzo zaawansowane są badania teatrologiczne, zaś nasz ośrodek filmologiczny jest najpoważniejszym tego rodzaju ośrodkiem w Polsce.

O poważnym wkładzie w rozwój nauki mogą mówić prawnicy naszego Uniwersytetu. Jest to z jednej strony wkład w prace kodyfikacyjne w zakresie prawa karnego cywilnego, (materialnego i procesowego) i prawa pracy oraz badania nad funkcjonowaniem rad narodowych naszego regionu. Wydział ekonomiczny wymagałby właściwie specjalnego omówienia, bo nauki ekonomiczne mają przecież najściślejszy związek z gospodarką narodową. Możemy odnotować wiele ekspertyz, opracowań czy propozycji w zakresie organizacji i zarządzania produkcją, planowania gospodarczego. Szczególnego znaczenia nabiera tu ekonometria. Trudno wreszcie nie zauważyć tego, czego dokonali socjologowie naszego Uniwersytetu, prowadzący badania nad kulturą oraz nad środowiskiem pracy. Objęli nimi region Bełchatowa i Łęczycy oraz Włocławek i Płock, gdzie w ostatnich latach powstały inwestycje przemysłowe o poważnym znaczeniu dla naszej gospodarki.

Mówiąc o działalności kierunków humanistycznych Uniwersytetu Łódzkiego wspomniał Pan Rektor przedsięwzięcia wydawnicze. Może warto więc zastanowić się przez moment nad możliwościami edytorskimi uczelni. Publikacja w czasopiśmie to przecież często pierwszy szczebel do kariery naukowej, a nawet wymóg formalny otwarcia przewodu doktorskiego. W jakiej mierze młody naukowiec może tutaj liczyć na pomoc swej Alma Mater?

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Obok wspomnianych już przeze mnie czasopism stale wydajemy „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego". Ponadto współpracujemy stale z Łódzkim Towarzystwem Naukowym, które wspomaga nas edytorsko. Mają swoje arkusze naukowe prawnicy i ekonomiści, mają też socjologowie. Ale jest to przysłowiowa kropla w morzu potrzeb. Czas oczekiwania na druk jest zazwyczaj bardzo długi, a w szczególnie trudnej sytuacji są najmłodsi. Mimo tych kłopotów Uniwersytet nasz może się poszczycić ogromną liczbą publikacji naukowych. W przeciągu ćwierćwiecza zebrało się ich już blisko szesnaście tysięcy. Liczba ta wymaga zresztą pewnego komentarza. Jak to już podkreślałem, nasze możliwości poligraficzne są więcej niż skromne. Toteż prace naszych uczonych rzadko noszą stempel oficyny wydawniczej Uniwersytetu Łódzkiego. Nie mamy możliwości wydawania nawet prac doktorskich. To, oczywiście, jest bardzo niekorzystne. Ale prace te, ukazując się drukiem w innych wydawnictwach wytrzymują silną konkurencję, co mówi chyba samo za siebie.

Mimo to problem własnej typografii uważam za palący, choćby ze względu na młodych, którzy nie mają gdzie publikować. Oczywiście. mimo tych trudności wydawniczych, nie grozi nam jakiś kryzys kadrowy, skoro do tej pory 714 magistrów uzyskało w naszym Uniwersytecie tytuły doktorskie, a ponad 110 doktorów stopnie docenta. Rozbudowa poligrafii jest jednak niezbędna dla prawidłowego rozwoju Uniwersytetu i pełniejszego zaspokajania potrzeb społecznych, bo wiele prac ma charakter praktyczny, opóźnianie ich publikacji jest więc poważnym marnotrawstwem.

Z tego, co Pan tutaj mówił, wynikają jasne związki Uniwersytetu Łódzkiego z miastem i regionem. Z drugiej jednak strony rozlegają się głosy, że struktura organizacyjna naszych wyższych uczelni nie odpowiada już duchowi czasu, że opóźnia postęp, że reorganizacja mogłaby się przyczynić do intensyfikacji badań. W jakim kierunku powinny pójść te przemiany?

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Ostatnio zdobywa sobie coraz więcej sympatii idea integracji badań, co będzie się wiązało z poważną reorganizacją wyższego szkolnictwa. Chcemy bowiem rozwijać badania podstawowe, a to wymaga pełniejszego wykorzystania środków w zakresie aparatury, lokali. Toteż przewiduje się, w ramach kierunku, łączenie katedr w placówki zwane instytutami. Powinna z tego wyniknąć dodatkowa korzyść wychowawcza, ponieważ student od tej pory będzie miał do czynienia nie z rozproszonymi katedrami, tylko z organizmem, który można przyrównać do kolegiów angielskich. Ten system może zapewnić pełniejsze uczestnictwo studenta w życiu uczelni, zbliży go do nauczycieli, od asystenta do profesora. Dotychczas związek ten mimo wielu starań był dość luźny. Jeśli jeszcze dla każdego z instytutów uda się zdobyć własną siedzibę, zlikwidowana zostanie zarazem pewna, występująca dziś, anonimowość pracowników. Zresztą doświadczenie uczy, że tam, gdzie wydziały mają odpowiednie warunki lokalowe, wyniki nauczania są grubo lepsze.

Ale w związku z tą reformą wyłania się potrzeba integracji środowiskowej. Wszystko przemawia za tym, żeby powstało miasteczko uniwersyteckie, co zapewni współpracę placówek. Instytuty będą mogły także dla zadań ściśle naukowych powoływać na określony czas zespoły badawcze. Pokrewieństwo wydziałów może mieć więc wpływ na przyrost kadry naukowej. I to jest dodatkowym zyskiem zamierzonej reorganizacji.

Panie Rektorze, rezygnując ze wspominków nie udało nam się uniknąć wybiegnięcia w przyszłość. Może więc dla równowagi ostatnie pytanie: Czym jest Uniwersytet Łódzki dziś, w dwudziestym piątym roku swego istnienia?

PROF. DR ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI: Podsumowania są zawsze najtrudniejsze. Myślę, że dorobek Uniwersytetu najpełniej udokumentuje sesja naukowa. Mnie stać tutaj na parę zaledwie refleksji. Nie ulega wątpliwości, że zarówno w zakresie humanistyki jak i nauk ścisłych jesteśmy silnie związani z regionem. Mury naszej uczelni opuściło 16,5 tysiąca magistrów, wysoko kwalifikowanych specjalistów różnych dziedzin wiedzy. Stworzone także zostały warunki do stałego rozwoju badań naukowych. Prowadząc studia stacjonarne (6000 studentów) i zaoczne (4500 studentów) staliśmy się w kraju uniwersytecką potegą — trzecie miejsce pod względem liczebności. Na szczególne podkreślenie zasługuje wreszcie to, że uczyniliśmy wiele dla podniesienia kwalifikacji pracujących. Nasze studia dla pracujących są najbardziej rozbudowane w kraju. Wydaje mi się także, że Uniwersytet zapewnił Łodzi trwałe miejsce w kulturze i nauce polskiej.

MAREK WAWRZKIEWICZ

NIE JEST ŁATWO ZADZIWIĆ WSPÓŁCZESNEGO CZŁOWIEKA, ALE NIEKIEDY SIĘ TO JESZCZE ZDARZA. NIC WIĘC DZIWNEGO, ŻE I JA PARĘ RAZY SIĘ ZDZIWIŁEM. A OSTATNIO...

NIEUDANE MAŁŻEŃSTWO

Ostatnio przeczytałem wiadomość, która zrobiła na mnie doprawdy wstrząsające wrażenie. Oto Sąd Najwyższy wydał precedensowe orzeczenie: Polskie Koleje Państwowe odpowiadają za spóźnienia pociągów i ich skutki. Przyznacie państwo, że brzmi to nieprawdopodobnie. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o tło całej sprawy, która, jak sądzę, musiała się toczyć długie miesiące, a może i lata. Orzeczenie to przełamujące absolutną bezkarność olbrzymiej instytucji, zostało wydane w szczególnych okolicznościach. Nie, nie wtedy, kiedy skutkiem opóźnienia się pociągu setki pasażerów „nie łapią" innego pociągu na przesiadkowej stacji, nie wtedy, kiedy za przyczyną PKP tęsknym okiem spoglądamy na odlatujący samolot, który miał wywieźć nas w atrakcyjną podróż zagraniczną, nie wtedy kiedy pół nocy spędzać trzeba w zimnej, brudnej poczekalni dworcowej. Okazuje się, że ktoś na drodze sądowej dowiódł swojej racji dopiero wtedy, kiedy stracił obie nogi, bo go tłum zniecierpliwionych ludzi wepchnął pod nadjeżdżający, opóźniony pociąg.

„Nikt z koleją nie wygrał" — mawia się powszechnie. Nieprawda. Wygrał. Ale — za jaką cenę?

Jest w owym jednostkowym — zdawałoby się — fakcie absurd okrutny i potworny. Absurd jednak tkwi w tym, żeśmy się wszyscy pogodzili najpierw jednostkowo, a potem w całej wielkiej masie „użytkowników" i „konsumentów" z olbrzymią ilością małych i wielkich absurdów. Że przechodzimy wobec nich obojętnie — znieczuleni, zrezygnowani, zniechęceni. Nie dziwię się znieczulicy i zniechęceniu, wynika ona z dysproporcji sił.

Bo proszę: z jednej strony instytucja państwowa, która przyjmując zlecenie od klienta wydaje mu kwit zadrukowany po drugiej stronie litanią zamaskowanych gróźb pod jego adresem. Z drugiej strony — szary konsument, zdany na łaskę i niełaskę tejże monopolistycznej instytucji. Łatwo przewidzieć — że zgodzi się on na nieterminowe, niedbałe, niesolidne wykonanie zlecenia — nie ma przecież innego wyjścia.

Z jednej strony — instytucja zasobna, bogata, mająca do dyspozycji radcę prawnego. Z drugiej strony szary użytkownik, nie obeznany w prawie, nie mający czasu włóczyć się po sądach, odwoływać się, apelować, nie mający pieniędzy na adwokatów.

Taka jest prawda. Niepełna, bo każdy z nas mógłby dorzucić coś ze skarbca własnych, smutnych doświadczeń. Co z tym zrobić? Co na to poradzić?

Nieudane małżeństwa kończą się rozwodem. Nas, niestety, na rozwód nie stać. Nie będziemy przecież chodzić piechotą i bojkotować PKP dlatego, że ta instytucja lekceważy nas sobie i nie wywiązuje się ze swoich podstawowych obowiązków.

Nie wywiercimy sobie prywatnych studzien artezyjskich, choć wodociągi miejskie poją nas wodą tak ohydną, że już najgorsza gorzałka lepiej smakuje. Musimy w dalszym ciągu korzystać z miejskiej pralni, restauracji, z miejskiej komunikacji, taksówek i wszystkich innych aparatów nieustającej mordęgi. Nie stać nas na rozwód — powtarzam. Ale przynajmniej mówmy głośno, nie dajmy się wypędzać w zarośla absurdów. A spotykamy się z nimi na co dzień. Są coraz nowsze, coraz wymyślniejsze, coraz bardziej zmodernizowane. Oto mała garść przykładów. Chciałbym poznać tego szczęśliwego człowieka, któremu udało się bez opóźnienia dotrzeć do Łodzi pociągiem odjeżdżającym z Warszawy o 20.30. Mnie i moim znajomym nie znane jest to szczęście. Kiedyś było inaczej, ale zmieniło się za sprawą kilku głowaczy, którzy wymyślili połączenie miast Łomża-Łódź pewnie dlatego, że obie nazwy zaczynają się na tę samą literę. W związku z tym pociąg, który do Warszawy kursuje jako osobowy, przybywa tam z minimum dwudziestominutowym opóźnieniem. Następnie zostaje przemianowany na pośpieszny. Nobilitacja ta kosztuje dalsze dwadzieścia minut. W ten sposób dziesiątki tysięcy ludzi traci czas i cierpliwość. Kto za to odpowiada?

Ja rozumiem, że każdy ma prawo do eksperymentu. Ale jeśli eksperyment nie sprawdza się w praktyce, trzeba z niego zrezygnować.

Parę lat temu, kiedy zainstalowano w autobusach miejskich automaty, wymyślił ktoś w prześwietnym MPK, że trzeba wszystko zasadniczo zmienić. I zmieniono. Wsiadało się przodem, wysiadało — tyłem. Protesty były ogólne. Innowację zgodnie krytykowali pasażerowie, kierowcy i kontrolerzy. Ale, kiedy to na łamach „Odgłosów" napisałem — „Wy nam odmawiacie prawa do szukania nowych rozwiązań" — grzmiał na mnie przez telefon przedstawiciel instytucji. Potem — grzmoty umilkły, a instytucja — po cichutku wycofała się z prac nad poszukiwaniem „nowych rozwiązań". I chwała jej za to. Ale skłonności do eksperymentowania w dalszym ciągu drzemią w narodzie i w ten sposób zaczynają społecznie egzystować nowe absurdy — tak, jakby nie wystarczało starych, uświęconych tradycją.

Przykłady można mnożyć, ale przecież każdy z nas może to zrobić na własny użytek — w odniesieniu do spraw, które jego właśnie denerwują, zdumiewają i obrażają osobiście. Przykłady, które wywołują u nas czasem dramatyczny i — niestety — pełen bolesnego sensu okrzyk: jak my siebie traktujemy w swoim własnym kraju?

To małżeństwo jest nieudane. Nie tylko dlatego, że ciągle się kłóci. To małżeństwo jest nieudane również dlatego, że jedna strona zapomniała o podstawowych zasadach kultury współżycia między ludźmi. Bo czymże jest to wieczne niedotrzymywanie umów, łamanie obietnic, lekceważenie partnera, okłamywanie go i tzw. robienie w konia?

Albion od środka

Dalszy ciąg ze str. 1

siała obiecać, że hałasować nie będzie. Złamanie tego przyrzeczenia będzie traktowane jako nadużycie zaufania (breach of faith). Ponadto policja wymogła na młodych rewolucjonistach lewicowych wyrzeczenie się narkotyków...

Przywódcy Federacji noszą włosy długie i kręcące się w loki, buty obowiązkowo mocno podarte, spodnie z łatami i zamiast krawatów chustki, od czasu do czasu jednak, na uroczystości uniwersyteckie, przywdziewają obowiązujące gowns — peleryny i czworograniaste czapki, które się nie chcą trzymać na rozczapierzonych fryzurach i następuje kolizja z przepisami o stroju studenta.

Książę Ryszard of Gloucester wróci niedługo do ojcowskiego zamku, gdzie będzie myślał o przeszłości i przyszłości w tonacji moll.

19 czerwca

Tytoń i atomistyka. Grecja grozi Brytanii złamaniem umowy na zakup urządzeń reaktora atomowego wartości dwudziestu pięciu milionów funtów szterlingów, jeżeli tutejsi fabrykanci papierosów nie będą kupować greckiego tytoniu. Nie należy się jednak dopatrywać w odmowie kupowania greckich liści tytoniowych akcentów politycznych. Nikogo tu w końcu nie obchodzi sposób rządzenia greckiej dyktatury wojskowej, nikt się naprawdę nie przejmuje cenzurą w Grecji, torturami, godziną policyjną, królem wygnańcem. Po prostu papierosy zrobione nawet z niewielką domieszką greckiego tytoniu, nie znajdują nabywców. Brytyjscy „smokers" (palacze) po prostu „dislike" (nie lubią) ani aromatu, ani smaku greckiego tytoniu. Grecja zaś nie ma wiele do zaoferowania Brytanii w zamian za generator atomowy. Protestami zaś politycznymi przeciw juncie helleńskiej zajmuje się Melina Mercouri oraz jej sympatycy. Melina zwołała wielki wiec na Trafalgar Place, przemawiała i śpiewała, potem poprowadziła demonstrację pod ambasadę Grecji. Policji było tyleż co demonstrantów. Fabrykanci papierosów nie odżegnują się bynajmniej całkowicie od handlu z Grecją, wyrażają nadzieję, że Grecja poczyni postępy w kierunku poprawy swoich tytoniowych liści. Tymczasem zaś jest w tej chwili w Atenach grupa przedstawicieli przemysłu atomowego Wielkiej Brytanii, która „nie traci nadziei na pomyślne załatwienie transakcji". Za kulisami tej sprawy kryje się prawdopodobnie wielostronna „umowa" między producentami reaktorów i papierosów, której wartości można się tylko domyślać. Oba byznesy mają bowiem kolosalną przyszłość...

21 czerwca

Zabawny incydent na tle ustawy o warunkowym zwolnieniu z więzień przestępców kryminalnych tzw. „parole scheme". W więzieniach brytyjskich przebywa 10.695 osób, z których 1.157 zaproponowano warunkowe zwolnienie. 910 odsiadujących kary odmówiło wystąpienia z wnioskiem o ów parol, kalkulując na zimno, co może nastąpić potem. Potem może nastąpić następne przestępstwo, a za przestępstwo dokonane „na parolu" kara będzie znacznie wyższa. Jeden z więźniów miał oświadczyć, że byłoby głupotą korzystać z parolu w czasie odsiadki krótkiego termiuu i psuć sobie szanse następnym razem przy odsiadce dłuższego... Być kryminalistą, to mieć zawód posiadający swoją rutynę. Przewodniczącym ławy orzekającej o zwolnieniach warunkowych jest znany zdobywca Mount Everestu, Lord Hunt, człowiek, którego mocną stroną jest pasja dla ludzkich słabości. Poznałem go przed trzema laty, kiedy przyjechała z kraju grupa polskich alpinistów, tych szczególnych ludzi, którzy podróżują po górach w celach abstrakcyjnyoh. Stanowią oni ekskluzywny klub bezinteresownych. Podziwia się ich za to, czego dokonali inni. Współczuje się żyjącym za wypadki martwych. Traktuje się ich jako nieszkodliwych i podziwu godnych hobbystów, którzy pragną udowodnić światu, że pokonywanie gór i własnej słabości ma wartość dydaktycznego symbolu. Gdyby wszyscy ludzie itd. Lord Hunt jest człowiekiem dziwnym. Skromny i koleżeński (wówczas na dworcu chwycił najcięższe walizy polskich kolegów i taszczył je do furgonetki) ma jednocześnie w sposobie bycia coś oziębiającego. Patrzy na człowieka tak, jakby nie patrzył, lecz przezierał przezroczystą szybę. Słucha tak, jakby słuchał czegoś w sobie a nie rozmówcy, po chwili nie pamięta o czym sam mówił i dziwi się, że do niego o czymś mówiono. W owym czasie, kiedy miałem honor z nim przebywać (przez szereg dni) był jeszcze tylko Sirem. Tytuł lordowski został mu nadany za zasługi społeczne. Zajmował się ochroną porzuconych dzieci, teraz zajmuje się więźniami. Zdobywca Dachu Świata — myszkuje teraz w lochach ludzkiej natury. Człowiek, który nie potrafi kalkulować, zderza się z osobnikami, których specjalnością jest kalkulacja. Wysoki, suchy, piegowaty, z włosami koloru siwiejącej słomy, Lord Hunt pozostaje w moich wspomnieniach jako ktoś, kogo chciałbym odkryć.

22 czerwca

Brytania jest krajem hazardzistów. Hazard uprawiany przez ludzi typu Hunta, Chichestera, Rose'a, Campbellów i ich licznych następców — nawet jeżeli skażony żerującymi na nich firmami handlowymi — ma w sobie coś z najszlachetniejszych porywów. Ale to są szczyty, wyniosłe i opisane, podawane na wzór. Brytania ma także podziemia hazardu. Jest to w tej chwili centrum światowego hazardu. Nie Las Vegas, nie Monte Carlo, nie San Remo, ale Londyn i inne ośrodki tego kraju mają najlepiej zorganizowany i najsprytniej ukryty wielki przemysł hazardu. W samo tylko bingo, grę zalegalizowaną i stosunkowo tanią, gra w tym kraju 500.000 ludzi, z czego — wedle danych policyjnych — 98 procent stanowią kobiety. Ale i w tej taniej grze niektóre panie potrafią przegrywać fortuny. Ruleta, black jack, poker, kości — to są gry, w których miliony funtów przepływają z kieszeni hazardzistów do sejfów gangsterów międzynarodowych.

Brytania zawdzięcza powstanie swego imperium hazardzistom, którzy nie mieli nic do stracenia. Brytania utraciła imperium przez hazardzistów, którzy mieli do stracenia wszystko. W tej chwili jest to gracz, którego się nie dopuszcza do stołu.

24 czerwca

BBC oskarżono o preferowanie poglądów lewicowych, co jest atakiem na poglądy większości obywateli w tym kraju! W dyskusji telewizyjnej między Enochem Powellem, ultraprawicowym konserwatystą a przywódcą komunistów, Gollanem — prowadzący rozmowę wyraźnie sympatyzował z poglądami Gollana i starał się zdezawuować i ośmieszyć poglądy Powella, co doprowadziło szereg osób do stanu ostrej frustracji. Tzw. większość opinii publikowanej (o publicznej — jak mawiał Churchill — nikt tu nie słyszał) przywykła do tego, że poglądy BBC, ostro prawicowe, sprzedawane bywają jako „bezstronne" (impartial). Umiejętność posiadania stronniczego obiektywizmu jest niewątpliwie ideałem każdej propagandy, tylko nie każdej się to udaje. Młody pisarz, robotnik z pochodzenia, John Braine, powiada, że prawdę wykręca się w BBC nagminnie, a wiadomości się przesiewa i selekcjonuje. Półprawdy lub milczenie stanowią o jej „sile". Większość dzienników radiowych trwa tu po kilkadziesiąt sekund. Tylko, gdy wybucha jakaś afera, na której można ubić kapitał antykomunistyczny — wówczas czas BBC zdaje się potrajać. Jeżeli wówczas przychodzą do dyrekcji głosy protestu przeciw łgarstwom, tanim sensacjom, fałszywym komentarzom i szalbierczym wnioskom — nikt o tym nigdy się nie dowiaduje, z wyjątkiem biura listów. Być może (a nawet na pewno) listy te dochodzą do odpowiednich departamentów ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie sobie bezstronnie oczekują na ewentualności.

BOHDAN DROZDOWSKI

Uczestniczyłem w dyskusji o działaniu nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania w gronie kierownictwa „Pamotexu", czyli Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. W dyskusji głos zabrali: Jerzy Goldman — dyrektor Zakładu, Jerzy Szymański — kierownik Działu Ekonomicznego, Jan Stępniak — przewodniczący Rady Robotniczej, Zdzisław Falecki — sekretarz Rady Robotniczej, Karol Skweres — wiceprzewodniczący Rady Zakładowej, Czesław Wierzbowski — sekretarz KSR. Uwagi swe wypowiedzieli również: Stanisław Szczepanik — mistrz bielnika, Mieczysław Kosmalski — brygadzista, Wiktor Jachowicz — robotnik.

M. A. J.

Z dyskusji nad nowym systemem bodźców

Jerzy Goldman: Ogólnie rzecz biorąc nowy system bodźców materialnego zainteresowania jest moim zdaniem dobry, jakkolwiek wymaga wielu uściśleń, związanych ze specyfiką branży bawełnianej. Przemysł ten bowiem jest przemysłem typowo konsumpcyjnym w dużej mierze zależy od popytu.

Pracownicy dołożyli już wielu starań, aby nowy system był przyjęty przez załogę ze zrozumieniem i poparciem. W tym celu wspólnie z organizacjami NOT i PTE przeprowadziliśmy zebrania dla pracowników, które miały za zadanie wytyczenie racjonalnej drogi postępowania w celu pełnej realizacji wytycznych KC PZPR. Wytyczne Biura Politycznego naszej partii wywołały wśród załogi wyraźne zainteresowanie. Skłoniło nas to do szerszego omówienia problemów już przy pomocy tablic i plansz poglądowych oraz fachowych objaśnień naszych ekonomistów. Jednak mimo wielu posiedzeń i dyskusji na temat nowych bodźców ekonomicznych nasuwa się dalej wiele pytań i problemów.

I tak na przykład: absencja chorobowa. W ubiegłym roku była ona tak wysoka, że wypłacone zasiłki chorobowe znacznie przekroczyły limit wyznaczony na ten cel. Co będzie, jeżeli sytuacja powtórzy się w nowym systemie płac i premii? Równocześnie z wprowadzeniem nowego systemu premiowania trzeba będzie kategorycznie wyjaśnić sprawę kooperacji. Jest to jedna z poważniejszych bolączek przedsiębiorstwa. Kooperanci nie dotrzymują terminów dostaw, jakości półfabrykatów, rytmiczności, a co za tym idzie zakład ma trudności z wykonaniem planów produkcyjnych.

Jako wskaźnik syntetyczny zakład zaproponował wynikowy poziom kosztów. Jest to stosunek sumy kosztów produkcji, salda strat i zysków nadzwyczajnych oraz oprocentowania środków trwałych — do wartości produkcji wyrażonej w cenach fabrycznych. Wskaźnik ten w sposób syntetyczny wyraża poziom ekonomiki przedsiębiorstwa i zmusza zakład do zmniejszenia kosztów produkcji, minimalizacji kar płaconych odbiorcom, właściwego eksploatowania parku maszynowego przy jednoczesnym utrzymaniu wysokiej wartości produkcji. Tak więc każdy z odcinków działalności przedsiębiorstwa będzie miał swoje odbicie we wskaźniku wynikowego poziomu kosztów.

Nowy projekt premiowania i nagradzania utrzymuje nadal w mocy niektóre z obowiązujących rodzajów premii i nagród tzw. pozabankowych. Pula ta pozostanie i będzie egzekwowana tak, jak to było w latach ubiegłych. System pozabankowy obejmuje nagrody eksportowe, nagrody za produkcję wyrobów ze znakiem pierwszej jakości, premie za oszczędność paliw itp. Mimo wszystko nagrody i premie pozabankowe nie mają większego znaczenia w ekonomice zakładu, gdyż zasięg ich jest stosunkowo mały.

Reasumując stwierdzam, że nowy system bodźców ekonomicznych łączy w sobie interesy pracowników z interesami gospodarki narodowej, wyrażające się intensywniejszą, wydajniejszą pracą i wzrostem jakości produkcji.

Jerzy Szymański: Adaptacja nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania do charakteru naszego zakładu wysunęła jako zadania odcinkowe: poprawę jakości wyrobów, zwiększenie wydajności pracy i obniżkę kosztów materiałów podstawowych.

Zwiększając jakość asortymentu uzyskamy dodatkowe efekty finansowe, umożliwiające podniesienie premii i dokonanie podwyżek płac robotniczych. Podobnie rzecz się ma ze zwiększeniem wydajności pracy i obniżką kosztów materiałów podstawowych. Postulując powyższe zadania odcinkowe pokusiliśmy się o zbadanie nowej metody wyliczania funduszu premiowego i funduszu podwyżek płac robotniczych. W tym celu przeprowadzono próbny rachunek, biorąc za podstawę wskaźnik syntetyczny i zadania odcinkowe. Rachunek ten był oczywiście teoretyczny, lecz w poważnym stopniu przyczynił się do lepszego zorientowania się w nowym systemie.

Kierownictwo na podstawie przeprowadzanych w dalszym ciągu analiz i dyskusji doszło do wniosku, że w naszym przedsiębiorstwie, które posiada bardzo stary i w dużym stopniu zużyty park maszynowy, powinno się do zadań odcinkowych włączyć zadania podniesienia postępu technicznego. W takim układzie uzyskalibyśmy cztery zadania odcinkowe plus wskaźnik syntetyczny.

Jan Stępniak: W moim odczuciu wprowadzenie nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania będzie impulsem do lepszej i wydajniejszej pracy. Wszyscy dostrzegli, że system będzie korzystny tak dla pracowników umysłowych jak i fizycznych. Oczywiście na pierwszy plan wysuwają się od dawna eksponowane kwalifikacje pracowników.

Sądzę, że jeżeli nastąpi poprawa jakości, zmniejszą się koszty produkcji i zwiększy się udział środków trwałych — to będzie można powiedzieć, że system jest dobry i załoga rozumie jego działanie w ekonomice przedsiębiorstwa. W dalszym ciągu kładzie się nacisk na rytmiczność wykonywania asorty-

mentu, na skrócenie czasu przestoju maszyn, na zmniejszenie ilości braków, na lepszą koordynację kooperacji międzyoddziałowej i wiele innych, równie istotnych zadań odcinkowych.

Nawiązując do wypowiedzi dyrektora chciałbym podać krótki przykład obrazujący niedomagania kooperacji. I tak 6 stycznia otrzymaliśmy 915 kg przędzy, 7 stycznia — 925 kilogramów, 10 stycznia — 637 kilogramów. A gdzie jest reszta? Przecież kwartał rozpoczął się 1 stycznia i maszyny nie mogą ruszyć, jeżeli w zakładzie nie ma dostatecznej ilości przędzy.

Oprócz narad z aktywem zorganizowaliśmy i przeprowadziliśmy liczne zebrania informacyjne dla załogi. Zainteresowanie pracowników było ogromne i skłoniło nas to do utworzenia tzw. punktów konsultacyjno-informacyjnych przy każdej oddziałowej radzie robotniczej, poza centralnym punktem informacyjnym, działającym w dziale ekonomicznym.

Karol Skweres: W sprawie nurtującej nas kooperacji chciałbym zaproponować, aby w zakładzie w każdym oddziale produkcyjnym był zapas przędzy co najmniej 4, 5-dniowy. Uzdrowiłoby to natychmiast stosunki między kooperantami a zakładem. Braki w produkcji i duże ilości odpadów są m. in. spowodowane tym, że maszyna nie pracuje rytmicznie z braku surowca. Tak więc, aby obniżyć wskaźnik kosztów kooperacja i rytmiczność pracy urządzeń produkcyjnych muszą być dokładnie przestrzegane.

Ponieważ rok 1970 jest rokiem, bazowym, dla uzyskania lepszych jeszcze wyników większą uwagę zwróciliśmy na współzawodnictwo pracy. Chcemy je zmodyfikować i wprowadzić nowe formy i kryteria oceny wyników. Również jednym z podstawowych czynników właściwego działania nowego systemu bodźców ekonomicznych jest dyscyplina pracy, tak często naruszana przez pracowników.

Zdzisław Falecki: Moim zdaniem należy przede wszystkim wyeliminować czynniki utrudniające pracę załogi. Poza tym sądzę, że należy w dalszym ciągu rozmawiać z robotnikami w celu przygotowania ich do realizacji zadań wytyczonych przez nowy system bodźców. Sam system jest dość skomplikowany i dlatego należy położyć szczególny nacisk na dokładną adaptację wytycznych KC partii do warunków naszej branży.

Czesław Wierzbowski: Projekt nowego systemu bodźców materialnego zainteresowania jest wyjściem na przeciw licznym głosom załogi. Przebywając wśród pracowników wiele razy miałem możność usłyszeć utyskiwania robotników i majstrów na zły system nagradzania i premiowania za faktyczny wkład pracy. Teraz przygotowując się do wprowadzenia w życie nowego systemu bodźców wyrosły przed radami robotniczymi nowe zadania.

Mam nadzieję, że po spełnieniu wszystkich warunków, działanie systemu okaże się dobrym i nowoczesnym projektem nagradzania pracowników za ich pracę.

Stanisław Szczepanik: Nowy system bodźców materialnego zainteresowania jest korzystny zarówno dla pracowników, jak i gospodarki narodowej. Robotnicy w moim oddziale, we własnym zakresie zobowiązali się przestrzegać dyscypliny pracy i zwracać uwagę pracownikom, łamiącym postanowienia samorządu robotniczego w zakładzie.

System bodźców będzie, moim zdaniem, trudny do wprowadzenia, jeżeli załoga nie wykaże się pełnym zrozumieniem i poparciem dla wytycznych KC PZPR. Bo przecież przekroczenie limitu zasiłków chorobowych, przedłużenie przestoju maszyn, duża ilość braków rzutują na całokształt pracy oddziału a nawet całego przedsiębiorstwa.

W pierwszym okresie, to znaczy w roku bieżącym, tak zwanym bazowym, można zauważyć na terenie oddziału pełną mobilizację przeszło 200-osobowej załogi bielnika w celu realizacji wysuniętych przez kierownictwo zakładu nowych zadań.

Mieczysław Kosmalski: Fundusz nagród i premii przede wszystkim zależy od wypracowanej bazy, czyli od funduszu uzyskanego w roku bieżącym. Jeżeli uzyskamy do podziału 100 procent funduszu, to w roku następnym o nadwyżki wypłacone pracownikom z tytułu premii podniesione zostanie wynagrodzenie zasadnicze. Każdy więc będzie głęboko zainteresowany tym, ażeby uzyskać jak największą premię za dobrą i rzetelną pracę.

Będąc w bezpośredniej styczności z robotnikami mojej brygady nie jednokrotnie wyjaśniałem pracownikom działanie systemu, jego mechanizm i korzyści, jakie przyniesie reforma. Poza tym w oddziale odbywają się często narady wytwórcze i związkowe, na których m. in. szczegółowo omawiamy wypływające problemy, dotyczące wynagrodzeń.

Wiktor Jachowicz: W pełni popieram stanowisko moich przedmówców z oddziału co do słuszności wprowadzenia nowego systemu oddziaływania ekonomicznego. Jako przedstawiciel licznej rzeszy robotników zakładu chciałbym poruszyć sprawę nagminnych chorób a także wypadków przy pracy (na szczęście nielicznych). Nasuwa się tu pytanie, czy wypadki losowe będą miały decydujący wpływ na rozdział premii? Muszę stwierdzić, że przeważająca większość załogi twierdzi, że system jest dobry, bo wreszcie w zależności od faktycznego wkładu pracy i jej efektywności zostanie ustalone wynagrodzenie i premia. Wszyscy robotnicy w oddziale liczą na obecny, bazowy rok, który w pełni odzwierciedli zalety wprowadzanego systemu bodźców materialnego zainteresowania.

OPRACOWAŁ:
MARIUSZ ADAM JAKUBOWSKI

BOGDA MADEJ

SKLEP Z WYOBRAŹNIĄ

Zawsze wolałam zaglądać do Desy przez „antyczne", lewe okno niż przez „współczesne" prawe. Tego dnia stanełam obok siwego, nieco staroświeckiego pana z laską, żeby popatrzeć na małą torebkę ze srebrnego, cieniutkiego drutu, ale wiosenny deszcz smagnął na gle ciężkimi kroplami. Mroczne zwykle wnetrze Desy pomrocznia ło jeszcze bardziej. Najpierw do środka schował sie siwy pan, potem ja. Pan zniknął gdzieś w głębi, a ja metodycznie, od początku zaczełam smakować to spotkanie z przeszłością, którą pachniało nawet powietrze.

Na biedermeierowskim stoliku leży czarny wachlarz ze strusich piór, jakby przed chwilą rzuciła go tam niecierpliwa ręka pięknej pani, która wróciła z balu. Ale jak przyjrzeć się bliżej — widać, że w jednym miejscu wachlarz jest nieco uszkodzony, a czarne pióra poszarzały od czasu i kurzu. Nad starą porcelaną nie unoszą się obłoczki pary, a poustawiane w grzeczny rząd dek złociste moździerze nie pachną tłuczonymi korzeniami. Wielki miedziany rondel, w którym na pewno kiedyś perkotały wiśniowe konfitury, stoi pusty. Ze starych, niemieckich kufli nie przelewa się delikatna piwna piana, a pieniądze zamiast przechodzić z ręki do ręki, spoczywają w oszklonej gablotce jako numizmaty, i żeby je zdobyć trzeba wydać, jakże nieciekawe w porównaniu z nimi, pieniądze współczesne. Tylko stary wysoki zegar w szafce nic sobie nie robi z tego, że wciśnięty głęboko w kąt od kilku miesięcy przegrywa konkurencję z bardziej ustawnymi w spółdzielczych M-2 zegarami z kukułką i niezmiennie wygrywa piękne melodyjne kuranty, takie same jak przed dziesiątkami lat.

Chwilę zadumy nad przeszłością, nad życiem ludzi, dla których zaopatrzone w dyskretną etykietkę z ceną meble, przedmioty lub obrazy, stanowiły jakąś wartość, były albo pamiątką, albo tylko fragmentem mieszkaniowego wyposażenia, przerywa współczesna, prawa strona desowskiego wnętrza, z soczyście kolorowym pejzażem Wasiołka, gipsowymi chyba główkami długowłosych, modnych dziewczyn i portretem zmarłego już, wysokiego urzędnika. Tych współczesnych rzeczy, przede wszystkim obrazów, jest w łódzkiej Desie bardzo dużo. Wyrównują skromne zbiory antyków i dzieł sztuki, w które Łódź zbyt zasobna nigdy nie była. Poza jednym Geyerem, który rzeczywiście miał cenne zbiory i sam znał się na sztuce, reszta fabrykantów dobrym smakiem pochwalić się raczej nie mogła.

Stąd cennych przedmiotów przewinęło się przez sklep Desy nie tak dużo i kierownik nie ma żadnych trudności przy ich wyliczeniu. Z dawniejszych nabytków najcenniejsze były dwa obrazy — „Studium do altany" — Gierymskiego i XVII-wieczny „Portret młodzieńca" Van Sanvoorta, trzeci obraz tego malarza w Polsce. Ostatnio zaś łódzkie Muzeum Sztuki kupiło od Desy wczesne, bo z 1887 roku „Studium głowy starca" Malczewskiego, „Martwą naturę" Glińskiego i również „Martwą naturę" pędzla flamandzkiego malarza z XVII wieku. Muzeum Mazowieckie z Płocka zakupiło secesyjny rosyjski witraż, Muzeum Ziemi Wieluńskiej pistolet skałkowy z przełomu XVIII i XIX wieku, Muzeum Regionalne z Pabianic kandelabry z brązu w stylu empire, a Muzeum w Piotrkowie Trybunalskim akrabuzę — karabin z XVII wieku, za który w wieku XX płaci się czternaście tysięcy. Natomiast Urząd Stanu Cywilnego w Świebodzinie zafundował sobie komplet stylowych mebli Ludwika XVI za 33.900 złotych.

Skromnie przedstawia się również obecny zbiór antyków wystawionych na sprzedaż. Najcenniejsze są dwa obrazy — wczesny Hoffman i akwarela Kostrzewskiego. Najdroższe — dwa komplety mebli w stylu biedermeier i Ludwik Filip — ponad 30.000 złotych. Mimo ceny, nabywcy znajdą się na pewno, bo w dobrym tonie jest mieć przynajmniej jeden stylowy mebel. Ba, jak wieść niesie, nawet warszawski salon piękności dla psów, jak na prawdziwy salon przystało — zdobią antyki. Ogromnym wzięciem cieszą się także robione „w stylu" meble z głośnego — niestety, bardziej za granicą, niż w kraju — zakładu w Henrykowie, który od czasu do czasu, po rocznym przynajmniej oczekiwaniu, dostarcza do Desy zamówione meble. Okazuje się, że trudniej dostać Ludwika XIV z Henrykowa, niż mebel autentyczny.

Słucham opowieści kierownika o starych meblach, o tym, jak to czasami niemal rozpadający się grat, konserwatorzy z pracowni przy Sienkiewicza przywracają do przyzwoitego stanu, a deszcz ciągle tłucze o szyby. W sklepie pusto, bo ruch klientów, okazuje się, zależny również od pogody. Kto tam w taką ulewę wybierze się do Desy? Chyba, że deszcz złapie już w drodze, tak, jak tego młodego człowieka, który przerwał nam rozmowę i w atmosferę niezwykłego spokoju, jaki płynie od staroci, wniósł zapach deszczu i trzy obrazki. Bzy, maki, i słodziutki widoczek z solidnego mieszczańskiego pokoju lat trzydziestych. Rozczarowany pakował je z powrotem, ale jeszcze nie dając za wygraną, wyciągnął z teczki misternie wyciętego w drzewie psa. Pies był zdaje się rasowym seterem, ale rzeźba dziełem sztuki nie była.

Młodzieniec z obrazkami i psem odszedł w deszcz.

Zaraz po nim wpadli do Desy dwaj młodzieńcy w skórzanych kurteczkach, zmoczonych akurat na tyle, jakby wybiegli z pobliskiej kawiarni. Dialog był krótki:

— Klejnocik taki mamy do sprzedania — powiedział grubszy i wyjął z kieszeni złotą spinkę do mankietów, z szafirkami.

— A druga?

— Jaka druga? To jest przecież taka broszeczka.

— Do czego?

— No, przypiąć gdzieś tutaj — szczuplejszy pomachał dłonią koło rozcięcia polo.

— Nie przyjmiemy. Nie ma próby i wygląda na współczesną robotę.

— Jak to na współczesną? — oburzyli się obaj. — Przecież to miała bardzo stara kobieta!

Kierownik powiedział: klientów, którzy sprzedają u nas antyki, można podzielić na trzy grupy. Sprzedają, bo dostali antyk na przykład w spadku i nie są do niego przywiązani. Sprzedają, bo w określonych warunkach mieszkaniowych stary przedmiot, choćby i wartościowy, przestaje być funkcjonalny. A czasem, mimo, że jest to pamiątka rodzinna, trzeba sprzedać, bo potrzebne są akurat pieniądze. Zastanawiałam się, gdzie by tutaj umieścić młodzieńców, którzy przed chwilą wyszli z Desy. Ale i tak najbardziej pasowali mi do czwartej grupy, o której kierownik nic nie mówił.

— Kto w takim razie kupuje te przedmioty?

— Rzeczy najbardziej wartościowe zatrzymujemy i zawiadamiamy odpowiednie muzeum. Meble często bierze od nas jakaś instytucja, albo też młode małżeństwa, urządzające sobie dopiero mieszkania. No, a przede wszystkim przychodzą do nas prywatni kolekcjonerzy numizmatów, srebra, porcelany, obrazów lub broni. Bardzo modna jest ostatnio biała broń ze wszystkich epok, ale szczególnie szable z kampanii wrześniowej, objęte już zakazem wywożenia za granicę.

— My właśnie mamy szablę kozacką w drewnianej pochwie i o, taki duży medalion „dzieło Davida, głowa Mickiewicza" — czteroosobowa, przemoknięta grupa, przybyła widać gdzieś z daleka, stanęła obok nas.

— Ile to będzie mniej więcej warte, bo mamy kupca? — Niestety, właściciele głowy Mickiewicza niczego się nie dowiedzieli, bo oceniać z opisu przecież nie można. Wyszli nieco rozczarowani.

Ludzie różnie reagują na oceny. Czasem są zaskoczeni, bo nagle okazuje się, że stary, niepotrzebny grat jest taki cenny i taki drogi. Częściej jednak ludzie są rozczarowani.

— Pamiętam, przynieśli kiedyś do nas obraz. Miał to być Brandt. Przekazali go klientom dziadkowie z surowym napomnieniem, że by strzec jak oka w głowie i trzymać na czarną godzinę. Od razu ten Brandt wydał nam się podejrzany, ale daliśmy go do rzeczoznawców. Klienci długo nie mogli uwierzyć, że to falsyfikat. Trafiały już też do nas najczęściej podrabiane, fałszywe Kossaki.

— E, takie to i fałszerstwa — przerwał kierownikowi siwy pan z laską, który od pewnego czasu przysłuchiwał się rozmowie. — Państwo pewnie słyszeliście o znakomitych obrazach Vermeera, malowanych przez Hana van Meegeren. Gdyby van Meegeren nie przyznał się do fałszerstwa, pewnie nikt by do tej pory nie zakwestionował autentyczności rzekomych Vermeerów. Nie wierzono mu zresztą, póki nie udowodnił własnego autorstwa. I to kto, jacy specjaliści. A i do tej pory są tacy, których oświadczenie holenderskiego genialnego fałszerza przekonało nie do końca. No, a taki Alceo Dossena...

Starszy pan opowiadał z ożywieniem i nawet nie zauważyliśmy, że przestał wreszcie padać deszcz. Dopiero pojawienie się nowych klientów pomogło nam uprzytomnić sobie, że pora podziękować za gościnne schronienie przed deszczem. Na ulicy siwy pan wrócił do przerwanej opowieści.

— Chciałbym, żeby pani posłuchała jeszcze o głośnej w moich czasach aferze fałszerskiej. Otóż radca dworu księcia Ysenburg, Carl Wilhelm Becker sfałszował około trzystu różnych monet...

Przechodziliśmy akurat koło sklepu z obuwiem. Zupełnie odruchowo zatrzymałam się, żeby popatrzeć i w tej chwili uświadomiłam sobie, że coś w tej opowieści mego towarzysza się nie zgadza. Odwróciłam się, ale siwy pan gdzieś zniknął. „W moich czasach" — powiedział. A przecież Becker sfałszował te trzysta monet na początku XIX wieku.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Łódzka młodzież i twórcy lubuscy

W związku z kolejnym zjazdem pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych warto uprzytomnić sobie ogromny, imponujący rozkwit życia literackiego na tych obszarach w ciągu kilku ostatnich lat. Dziesięć od działów Związku Literatów Polskich, w których zrzeszeni są pisarze Ziem Zachodnich, liczy dziś 254 członków. O tempie rozwoju niechaj świadczy przykład środowiska wrocławskiego, które zrzesza dziś więcej twórców niż w roku 1958 — a więc w momencie odbywania się I Zjazdu Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych — zamieszkiwało Polskę zachodnią i północną.

Rocznica powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy oraz zjazd stwarzają okazję do przeglądu i oceny dorobku kulturalnego nad Nysą, Odrą i Bałtykiem, pojawiło się więc już i w dalszym ciągu pojawia szereg publikacji poświęconych omówieniu działalności i twórczości literackiej tychże środowisk, zwłaszcza zaś traktujących o gospodarzach tegorocznego zjazdu — środowisku lubuskim.

Coraz większa jego prężność i pozycja na kulturalnej mapie kraju oraz jakościowy i ilościowy rozwój sprawiają, że pisarze środkowego Nadodrza stają się przedmiotem wzrastającego zainteresowania czytelników. Historia życia literackiego na Ziemi Lubuskiej sięga początków lat pięćdziesiątych, zaś żywszy rozwój — od roku 1961, kiedy to decyzją Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich powstał w Zielonej Górze samodzielny oddział ZLP. Od tego czasu intensywnie rozwija się twórczość pisarzy mieszkających w Zielonej Górze, Gorzowie Wielkopolskim i w innych miejscowościach województwa zielonogórskiego — Ireny Dowgielewicz, Tadeusza Jasińskiego, Tadeusza Kajana, Janusza Koniusza, Zdzisława Bernarda Morawskiego, Zbigniewa Ryndaka, Wiesława Sautera, Bolesława Solińskiego, Henryka Szylkina, Zygmunta Trziszki, Eugeniusza Wachowiaka, Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, a także literackiej młodzieży. Dominuje poezja i proza, ale i w literaturze faktu lubuszanie odnotowali poważniejsze osiągnięcia.

Nadarza się w chwili obecnej sposobność, by wspomnieć o kontaktach studentów łódzkiej polonistyki nie tylko ze środowiskiem pisarskim, ale z całym regionem lubuskim. Łączność między Kołem Naukowym Polonistów Uniwersytetu Łódzkiego, znajdującym się wówczas pod opieką prof. dr Zdzisława Skwarczyńskiego, a Lubuskim Towarzystwem Kultury nawiązana została przed dwoma laty. W rezultacie porozumienia łódzcy studenci dwukrotnie (latem 1968 i 1969) przebywali na gościnnej Ziemi Lubuskiej, obozując w najatrakcyjniejszej pod względem turystycznym miejscowości województwa — Łagowie Lubuskim.

Pierwszy obóz (21 VIII — 10 IX 1968) nosił przede wszystkim znamię rekonesansu. Większość uczestników przybyła na Ziemię Lubuską po raz pierwszy, po raz pierwszy też zetknęła się z wielu problemami środkowego Nadodrza. Studenci zapoznali się z twórczością zielonogórskich pisarzy oraz zajęli się problematyką recepcji współczesnej literatury polskiej, związanej głównie z Ziemiami Zachodnimi i Północnymi, na terenie powiatu świebodzińskiego. Wyniki tego rekonesansowego pobytu przedstawione zostały na zorganizowanej wspólnie przez Lubuskie Towarzystwo Kultury, Katedrę Literatury Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego i Koło Polonistów sesji, jaka w końcu kwietnia ubiegłego roku odbyła się w Zielonej Górze.

Celem drugiego obozu (25 VIII-14 IX 1969), obok pogłębienia zagadnień podjętych poprzednio, było znaczne rozszerzenie zakresu penetracji. Przejawiło się to w podjęciu badań folklorystycznych i teatrologicznych. Badania folklorystyczne stanowiły próbę zorientowania się jak postępuje proces zrastania kulturowego ludności autochtonicznej z przybyszami z innych regionów. Eksplorację przeprowadzono w Nowym Kramsku, Dąbrówce Wielkopolskiej, Pożrzadle oraz w okolicach Strzelec Krajeńskich.

Zainteresowania kulturą teatralną regionu nie ograniczały się do poszukiwań w archiwach teatrów zielonogórskiego i gorzowskiego. Uczestnicząc w terenowych wyjazdach studenci poznawali warunki pracy zespołu artystycznego teatru zielonogórskiego.

Nieodłącznym elementem obozowej działalności były kontakty personalne, rozmowy, spotkania, wywiady, dyskusje z twórcami i działaczami. Owe rozmowy i spotkania przede wszystkim dostarczały nie znanego wcześniej materiału faktograficznego i anegdotycznego do badań, posiadały także bardzo miłą stronę towarzyską.

Sądzić należy, że plon, jaki przyniosły łódzkie obozy polonistyczne odda pewne usługi mieszkańcom Ziemi Lubuskiej, skoro Lubuskie Towarzystwo Kultury zdecydowało się własnym sumptem, przy współpracy Uniwersytetu Łódzkiego, opublikować studenckie prace. Publikacja ta pod wspólnym tytułem „O kulturze i literaturze Ziemi Lubuskiej" grupuje artykuły omawiające problemy życia literackiego, kreślące historię powstania środowiska literackiego w Zielonej Górze, systematyzujące i interpretujące literackie dokonania lubuszan, charakteryzujące dwutygodnik społeczno-kulturalny „Nadodrze", szeroko przedstawiające działalność teatralną, przynosi wreszcie informację o folklorystycznym rekonesansie. Pomyślana jako swego rodzaju wydawnictwo okolicznościowe (otrzymali ją uczestnicy wraz z innymi materiałami zjazdowymi) stanowi dla lubuskiego środowiska twórczego wizytówkę dokonań nie tylko artystycznych, dla łódzkiej młodzieży polonistycznej zaś jest świadectwem podejmowania jak najbardziej aktualnych zagadnień życia społecznego i kulturalnego naszego kraju.

IGOR SIKIRYCKI

Tadek

Bieniek zrzucił ubranie na trawę i w samych spodenkach kąpielowych powędrował na drugi brzeg Bystrzycy.

— Ale cieplutka woda! — zawołał po drodze, a kiedy wychodził na drugi brzeg, dorzucił: — Gdyby ci się nudziło, w prawej kieszeni znajdziesz całą dzisiejszą prasę.

Ale nie sięgnąłem do gazety. Rozłożyłem tylko derkę, w cieniu przybrzeżnych olszyn i leżąc, zacząłem przypominać sobie kiedy właściwie poznałem Bieńka.

To było chyba podczas egzaminów do pierwszej gimnazjalnej. Ależ tak, na pewno. Siedział wtedy na korytarzu tak samo przejęty jak ja i z uwagą wysłuchiwał ostatnich wskazówek ojca.

Po długich lśniących korytarzach wykładanych jasną posadzką snuły się grupy chłopców w towarzystwie rodziców i korepetytorów. Panował gwar i podniecenie. Nic dziwnego, na sześćdziesiąt wolnych miejsc zgłosiło się około pięciuset kandydatów.

Oprócz Ceśka Kaliberdy, z którym chodziłem razem do powszechniaka i Tadka Mikuły, również mieszkańca naszej dzielnicy, nie znałem tu nikogo.

Do Mikuły nie czułem zbytniej sympatii, a szczerze mówiąc, to nawet go nie lubiłem. Właściwie żaden z moich kolegów nie przepadał za nim. Wprawdzie potężne muskuły Tadka budziły w nas spory respekt, ale między sobą nazywaliśmy go nochalem, co miało oznaczać, że za wysoko zadziera nosa.

A powodów do zadzierania nosa Mikuła nie miał za wiele. W jego domu panowała wyjątkowa nędza. Mieszkał z rodzicami i czworgiem młodszego rodzeństwa w suterenie piętrowego domku, przy samym końcu ulicy Pawiej, biegnącej w dół ku rzece. W tym domku nikt nie chciał mieszkać, bo prawie co roku podczas wiosennych roztopów Czerniejówka zalewała łąki i nigdy nie zapominała o nisko położonych suterenach. Ale i w takich, zdawałoby się niezbyt przyjemnych momentach, Tadek podgrywał rolę ważniaka. A już wtedy, gdy płynął w balii, aby dostarczyć żywność do swego domu odciętego od świata, minę miał jak Kolumb podczas odkrycia Ameryki, a może nawet jeszcze ważniejszą.

W głębi serc zazdrościliśmy mu tej przejażdżki balią, śledzonej z uwagą przez licznych mieszkańców Pawiej, a nawet i Bychawskiej. Zazdrościliśmy, że przy tej okazji nie chodził do szkoły, bo nawet po ustąpieniu powodzi musiał wylewać wiadrami wodę, a potem suszyć na słońcu wszystkie graty. Ale najbardziej zazdrościliśmy mu sławy jego ojca.

A na sławę, tu w naszej dzielnicy, musiał stary Mikuła ciężko zapracować. Z zawodu był kowalem. Pracował kiedyś przy parowym młocie w fabryce maszyn Wolskiego. Zwolnili go za udział w strajku, gdzie jako delegat załogi wygarnął dyrekcji kawałek prawdy. Rzecz jasna, że później nie chcieli go już nigdzie przyjąć. Żyli więc Mikułowie z zapomogi dla bezrobotnych i z łopatami w ręku odrabiali te złotówki na magistrackich robotach.

Podobnie jak powódź rokrocznie mieszkanie Mikuły odwiedzała policja. Przychodzili zawsze o tej samej porze, na parę dni przed pierwszym maja i wychodzili z kowalem, prowadząc go do ciężarówki, w której siedziało już paru podejrzanych. Mikuła szedł zazwyczaj bez oporu i nawet, jak nam się wydawało, jakby z ironicznym uśmiechem nie pozbawionym dumy. Zresztą za podobny uśmieszek nie znosiliśmy właśnie jego syna.

Aż pewnego roku zdarzyła się niespodzianka. Mikuła prowadzony przez policjantów, zatrzymał się przy kiosku. Pewnie chciał kupić paczkę machorkowych. Wtedy jeden z granatowych popchnął go w stronę jezdni, na której stała ciężarówka. Kowal ani drgnął. I dopiero, gdy granatowy popchnął go po raz drugi, odwrócił się i stuknął policjanta dłonią w czoło, czyli, jak się u nas mówiło, dał mu „blachę". Policjant nakrył się nogami i spoczął w rynsztoku. Wtedy jego towarzysz spróbował pochwycić kowala za kołnierz, ale Mikuła był szybszy. Lewą ręką ujął policjanta za pas i przycisnął go do ściany z taką siłą, że biedaczek przysiadł na ziemi. Na ten widok, trzeci policjant, kierowca cię żarówki, zamiast pośpieszyć kolegom na pomoc, włączył silnik, dodał gazu i pomknął w stronę komisariatu.

Kowal tymczasem podszedł do kiosku i poprosił o machorkowe. Obaj poturbowani policjanci stali z boku, nie bardzo wiedząc, co z nim począć. Mikuła zapalił, zaciągnął się parę razy, a potem najspokojniej w świecie poszedł prosto do domu.

W pół godziny później, na Pawią zajechała zakratowana buda i ta sama ciężarówka, z której wysypało się dwunastu granatowych.

Ze wszystkich stron zaczęli zbierać się ludzie. Niestety, nikomu oprócz Tadka nie dane było widzieć tego, co zaszło w suterenie po wejściu policji. A musiało tam wydarzyć się sporo ciekawych rzeczy, skoro już po paru minutach dwaj granatowi wyczołgali się na ulicę przez rozbite okno, a potem jeszcze trzech wynieśli ich koledzy przez bramę i ułożyli w ciężarówce. Minęło jeszcze sporo czasu zanim wreszcie zdołali wyprowadzić kowala na ulicę.

Z zakrwawioną twarzą, w koszuli poszarpanej na strzępy, popychany przez granatowych, szedł wolno unosząc na wysokości piersi skrzyżowane dłonie. Wyglądało to tak, jakby złożył je do modlitwy. Szedł spokojnie, z lekko opuszczoną głową i dopiero, gdy otwarto mu drzwi do policyjnej budy, przystanął, i odwrócił się w stronę milczącego tłumu. Stał chwilę nieruchomo, a potem zaczerpnął w płuca potężny wdech i targnął rękami z tak potworną siłą, że kajdanki pękły na dwoje.

Przez tłum potoczył się pomruk podziwu. Policjanci cofnęli się o parę kroków, sięgając odruchowo po gumowe pałki.

A tymczasem Mikuła najspokojniej w świecie sam wgramolił się do otwartej budy i nawet zatrzasnął za sobą drzwi.

Przez parę lat nikt go nie widział. I pewnie miejscowa sława Mikuły przygasłaby zupełnie, gdyby nie to, że podczas wiosennych powodzi, tłum obserwując Tadka płynącego w balii, przypomniał sobie tamte pamiętne wydarzenia.

Tadek był starszy od nas, toteż powszechniaka skończył wcześniej i już w ubiegłym roku próbował zdawać do gimnazjum. Podobno zdał, ale nie został przyjęty. Nie zrażony tym faktem, w tym roku próbował znowu.

Chociaż mnie i Bieńka znał dość dobrze, jednak nie podszedł do nas ani na chwilę. Usiadł w głębi korytarza i z ważną miną przeglądał jakieś notatki.

— Słuchaj, Cesiek — zwróciłem się do Kaliberdy — czemu Tadek różnie takiego ważniaka?

Cesiek, który nie rozstawał się ze mną ani na chwilę, mrugnął znacząco.

— Jaki tam z niego ważniak, uda je tylko i to wszystko. W gruncie rzeczy, to trzęsą mu się nogi tak samo jak i nam... Ty, wiesz, że ostatnio, żeby zarobić na ten egzamin, nosił na dworcu walizki, rozumiesz?

— No to co w tym złego?

— Ech, ty filimonie, przecież nie o to mam do niego pretensję.

— Więc o co?

— O to, że jak go zauważył z tymi walizkami Piotrek Ryba, to Tadek się całkiem rozkleił. Zaczął prosić, żeby nikomu o tym nie mówił i nawet mu kupił paczkę chałwy za dwadzieścia groszy.

— Ale Piotrek wygadał?

— Wygadał.

— Świnia!

— Pewnie, że świnia, ale dostał za swoje.

— Od kogo?

— Od nas... Ale dosyć już tego, trzeba myśleć o sobie. Masz pietra przed egzaminem.

— Jeszcze jakiego.

— A ja wcale. Nie zdam, to pójdę do roboty i koniec.

Przysiedliśmy na ławce obok Bieńka, który akurat pożegnał się z ojcem.

— Serwus, Bieniek — powitał go Kaliberda.

Okazało ię, że zawarli kiedyś znajomość na rybach.

— Serwus — bąknął Bieniek.

— Masz pietra? — Kaliberda poczęstował go tym samym pytaniem co i mnie.

— Najbardziej to się boję matmy.

— Już dzisiaj? Masz jeszcze sporo czasu, przecież matma dopiero jutro.

— Wiem, że jutro, ale pietra to mam już od paru tygodni. Nawet nie chodziłem na ryby.

— To może wyskoczymy po egzaminie?

— Jak wszystko dobrze pójdzie, to możemy.

— A co teraz bierze?

— Najlepiej klenie.

— Na co?

— Na czereśnie.

— Żartujesz.

— Daję ci słowo. W zeszłym tygodniu listonosz złapał dwa przeszło kilowe.

Rozgadali się o rybach, ale mnie bardziej interesowało to wszystko, co działo się na korytarzu.

Tuż obok nas, wysoki, zgarbiony student, schylając się nad swoim pupilem, udzielał mu ostatnich wskazówek.

— Pamiętaj, jeśli dadzą dowolny temat pisz o marszałku albo o Koperniku. To, co pisałeś ze mną.

Wsparta o parapet okna, tęga pani

Rys. E. Inglot

w woalce, uspokajała swego syna ubranego w nowiutki mundurek.

— Tylko błagam cię, nie przejmuj się, Wacuś, nie zdasz, to nie szkodzi, świat się nie zawali. Będziesz się uczył w domu, a za rok spróbujemy jeszcze raz.

Obok kancelarii, barczysty major z kolekcją odznaczeń, poklepywał po ramieniu łysego pana w okularach.

— Drogi panie, mój Leszek zda na pewno. Kto tak strzela jak on, musi zdać do gimnazjum. Tego wymaga nasza racja stanu.

W tym momencie otworzyły się drzwi kancelarii i stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna. Przez korytarz przebiegł szmer. Z ust do ust potoczyło się szeptem słowo: „Dyrektor".

Nawet major zwrócił uwagę na ciszę, która zawisła nad korytarzem, przerwał rozmowę z łysym panem i spojrzał w stronę kancelarii.

— Aaa, witamy dyrektora, jak szanowne zdróweczko?

Zbliżył się do wpółotwartych drzwi, potrząsnął dłonią szczupłego mężczyzny i poufale szepnął mu coś do ucha. Po chwili obaj weszli do kancelarii.

W parę minut później podzielono nas wszystkich na alfabetyczne grupy i od tej pory straciłem kontakt z Kaliberdą i z Bieńkiem. Spotkaliśmy się dopiero po dwóch godzinach. Okazało się, że piśmienny z polskiego poszedł nam dobrze. Pełni nadziei wróciliśmy do domu.

Nazajutrz była matematyka i tym razem nie powiodło mi się zupełnie. Zadanie wymyślił chyba jakiś stuknięty facet. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Jubiler kupił srebrny świecznik i, z niewiadomych powodów, postanowił przetopić go na łyżki. Świecznik ważył tyle i tyle, każda łyżka miała ważyć ileś razy mniej od świecznika. Trzeba było obliczyć ile łyżek otrzymał jubiler.

Pociłem się jak mysz pod miotłą i gryząc koniec obsadki, przeklinałem w duchu jubilera, który nie miał nic lepszego do roboty niż przetapianie świeczników. Ale i to niewiele pomogło. Obok mnie słychać było co pewien czas przyczajone kroki tych, którzy skończyli zadanie. Zdobyłem się wreszcie na świeży wysiłek i jakoś poszło. Niestety, końcowy wynik nie budził wielkiego zaufania. Wypadło mi osiem i pół łyżki.

Na sali zostało już tylko paru delikwentów. Poddałem się. Wstałem i odniosłem zadanie.

Rozmowa z Ceśkiem Kaliberdą dobiła mnie całkowicie.

— Powinno wypaść równo siedem łyżek. Skąd tyś wziął tę głupią połowę? I w ogóle jak mogłeś coś takiego napisać?

— No, myślałem, że wyszło mu siedem łyżek i jedna mała — broniłem się niepewnie.

Na szczęście egzamin ustny zdałem śpiewająco i humor mi się poprawił, zwłaszcza, że z tymi łyżkami poradziło sobie zaledwie paru specjalistów.

Nadszedł wreszcie dzień ogłoszenia wyników. Choć listę mieli wywiesić o dziewiątej, wyszedłem z domu przed ósmą i myślałem, że będę pierwszy, ale koło tunelu spotkałem Ceśka, który wyszedł jeszcze wcześniej. Przed szkołą stała już spora gromadka ludzi. Okazało się, że listę wywieszono przed dziewiątą. Ale prawdziwy tłok panował dopiero w środku, na parterowym korytarzu, wokół tablicy z ogłoszeniami. Zanim zdołaliśmy przedostać się przez zwarty pierścień zainteresowanych, podbiegł do nas Bieniek i ryknął na cały korytarz.

— Zdałem! Jak Boga kocham, zdałem!

— A ja?

— A ja? — zawołaliśmy jednocześnie.

— Nie wiem — przyznał się Bieniek — jak tylko zobaczyłem swoje nazwisko, to aż pociemniało mi w oczach. Myślałem, że oszaleję z radości.

Zostawiliśmy go pod ścianą i natarliśmy ostrzej na tłum zgromadzony wokół listy. Ceśkowi powiodło się lepiej, może dlatego, że był wyższy ode mnie, w każdym bądź razie on pierwszy znalazł się przed listą i już po chwili zawołał:

— Jestem!

Stałem wtedy tuż za jego plecami w oczekiwaniu na wyrok. Ale Kaliberda milczał. Trwało to pewnie nie dłużej niż trzy sekundy, mnie jednak wydawało się, że mija wieczność. Wreszcie odwrócił się i z rozmachem klepnął mnie po ramieniu.

— Jest! Jest i twoje nazwisko. O tu, popatrz, ślepa wrono! Stoi jak byk!

Teraz dopiero, udało mi się przedostać do pierwszego rzędu. Sierpiński Albin, Sierpiński Albin, powtarzałem w kółko z takim niedowierzaniem jakby co najmniej przyznano mi nagrodę Nobla. Nagle przypomniałem sobie Tadka Mikułę. Uniosłem oczy wyżej i znalazłem nazwiska na „M". Machnik, Makolągwa, Matroń, Mełka, Mielczarek i koniec. To wszystko. Mikuły nie było. Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem po tych samych nazwiskach. Zatrzymałem się na chwilę przy nazwisku Mełki i z całą wyrazistością przypomniałem sobie słowa majora: „Drogi panie, mój Leszek zda na pewno..."

Tak, Leszek Mełka musiał zdać, ale Tadka Mikuły, który rozwiązał prawidłowo wszystkie zadania, na liście nie było.

Wyszliśmy na ulicę.

— Co masz taką głupią minę? — spytał Cesiek.

— Myślę o Tadku.

— A cóż my, bracie, możemy mu pomóc?

— Wiem, że nic, ale myślę.

— I mnie szkoda tego ważniaka — przyznał się Kaliberda.

— Chłopaki, zaczekajcie! — dogonił nas Bieniek. — Dostałem od ojca dwa złote, zapraszam was na lody. A po obiedzie walimy do kina. W „Gwieździe" grają „Samotnego jeźdźca" z Tomem Mixem... Mówię wam, takie draki, że jeszcze raz pójdę.

— No dobrze już, dobrze, chodźmy na te lody... — przerwał mu Cesiek.

— Hej ho, hej ho, na lody by się szło! — zaintonował Bieniek i ujmując nas pod ręce, pociągnął za sobą.

I właśnie wtedy, za rogiem Ogrodowej, niemal jednocześnie spostrzegliśmy Tadka Mikułę. Stał odwrócony do nas plecami wpatrując się tępym wzrokiem w wystawę księgarni.

— Wiecie co, zabierzmy go na lody — zaproponował Bieniek.

— Zwariowałeś? — mruknął Cesiek. — Przecież on za Boga z nami nie pójdzie.

— Spróbujmy — poparłem Bieńka,

— Ja tam się do tego nie wtrącam — oświadczył Kaliberda.

— Ale podejdziesz z nami?

— Mogę podejść.

— No to chodźmy.

Podeszliśmy niepewnym krokiem. Tadek spostrzegł nas od razu, ale z nosem przy samej szybie udawał teraz ogromne zainteresowanie jakąś książką.

— Serwus Tadek — Bieniek zaczął pierwszy.

— Serwus — odburknął Mikuła.

— Wiesz co, chcielibyśmy z tobą pójść na lody... To znaczy my zapraszamy.

— To niebywałe — zdziwił się Tadek i pakując łapy do kieszeni, non szalancko oparł się o ścianę. — A czy moglibyście, panowie, wyjaśnić z jakiego to powodu spotyka mnie taki zaszczyt?

— Nie wygłupiaj się — mruknął Kaliberda.

Wtedy najniepotrzebniej w świecie wtrąciłem się do tej rozmowy.

— Widzisz, nam jest naprawdę przykro, że ty... że ciebie nie ma na liście.

— Ach tak! — przerwał Tadek. — Rozumiem. Chodzi wam o tak zwane współczucie? Podeszliście do mnie z litości? A gdzieście byli, kiedy ja sam przez długie miesiące przygotowywałem się do tego zafajdanego egzaminu?! Czemu żaden z was nie podszedł do mnie tam na korytarzu? No co, milczycie? To ja wam odpowiem. Baliście się! Baliście się podejść do syna komunisty, którego ojciec gnije w kryminale... I mieliście rację — dorzucił ironicznie. — Mogło to przecież zaszkodzić wam w opinii... Ale tu na ulicy, gdzie nikt nas nie widzi, chcecie mi wyrazić współczucie i nawet zaprosić na lody... A wiecie, gdzie ja mam to wasze współczucie razem z waszymi lodami? — klepnął się niedwuznacznie dłonią po spodniach i dorzucił: — Wy jeszcze o mnie usłyszycie! A teraz zjeżdżajcie i to w podskokach! — Ostatnie słowa wypowiedział twardym tonem pogróżki, ale właśnie wtedy wydało mi się, że dostrzegłem w jego oczach wilgotne błyski, takie same jak w spojrzeniu człowieka, który za wszelką cenę stara się powstrzymać łzy.

Fragment powieści „Siedmiu nieobecnych".

Polska z książkami

AMBROZIEWICZ — REPORTER RZETELNY

Wszystko w tej książce jest prawdziwe nie wymyślone. Ludzie, problemy, konflikty... Nowy tom reportaży Jerzego Ambroziewicza. „Procesy", mówi jak sam tytuł wskazuje, głównie o sprawach mających swój tok lub finał na sądowej sali. Ale Ambroziewicz jest zbyt ambitnym reporterem, aby na tej sali pozostać. Dziewiąta już z kolei książka tego autora jest co prawda literaturą faktu, ale jednak literaturą.

Ambroziewicz opisuje ludzi i sprawy, stawia problemy społeczne autentyczne i rzeczywiste. Nie ma w tych reportażach tak modnego ostatnio przemieszania gatunków — eseju, fikcji i faktu — jest natomiast obraz Polski powiatowej i gminnej. Nie tylko w sensie administracyjnym powiatowej i gminnej, ale także w sensie szerszym, w kategoriach mentalności zaściankowej i rodem z opłotków.

Jerzy Ambroziewicz należy do reporterów chodzących po ziemi, patrzących na rzeczywistość z czułością i wnikliwością. Reportaże zawarte w „Procesach" nie są popisem gierek i wirtuozerii — są po prostu solidnym i prawdziwym dokumentem literackim naszego czasu. To bardzo wiele — to najwięcej ile można wymagać od reportera.

(jw)

Jerzy Ambroziewicz „Procesy". Wyd. „Iskry" 1970, cena 25 zł.

ANDRZEJ GRUN

Miasto, pokaż swoją twarz

Makijażem współczesnego miasta jest jego szata informacyjna. Inwencja plastyków i osiągnięcia techników przydały tej szacie własne walory estetyczne. Różne dziedziny sztuki użytkowej i wszelkie kierunki artystyczne współczesności — od realizmu do pop-artu, op-artu włącznie — znajdują tu swoje zastosowanie. Konkurencja rozgrywa się nie tylko na płaszczyźnie treści informacji, ale także w sferze estetyki, oryginalności, dowcipu, zaskakującego pomysłu. Wiek XX wniósł w pejzaż miejski elementy wzbogacające ten pejzaż, urozmaicające go, odnawiające i upiększające. Wniósł bogactwo i różnorodność. Obfitość reklam, zwłaszcza świetlnych, w handlowych i rozrywkowych dzielnicach stworzyła magnetyczne zjawisko, jakim jest nocny pejzaż miasta.

Dzienny pejzaż miasta jest równie bogaty. Ogromna wielość i częstotliwość informacji atakuje bez przerwy nasze zmysły. Elementy ruchliwe, barwne, rozmaitej wielkości i charakteru atakują naszą świadomość setki i setki razy w ciągu każdej minuty. Natarczywa kakofonia plansz i plakatów, litery szyldów i czcionki afiszów różnego kroju i wielkości, nazwy ulic i numery domów, ogłoszenia , znaki drogowe, okolicznościowe transparenty, migocące barwami witryny sklepowe krzyczą, wrzeszczą, skaczą do oczu z elewacji gmachów, z ulic i placów, z pobocza autostrad, ze skrzyżowań jezdni i chodników.

Wyraźny, zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat rozkwit szaty informacyjnej nie ominął i naszych miast. Wzbogacił i uwspółcześnił walory ich pejzażu, zwłaszcza, jeśli chodzi o neony — bo w tej dziedzinie notujemy postęp niewątpliwy. W dziedzinach pozostałych sytuacja wygląda różnie. Osobiście daleki jestem od wyrażania zachwytu. Istnieje bowiem ostra dysproporcja między naszym współczesnym budownictwem, między nieustannie wzrastającą urodą miast, dzielnic i ulic, a spontanicznym i niefrasobliwym ich szpeceniem przez brzydkie, nie odpowiadające charakterowi otoczenia liternictwo szyldów i reklam, przez ich niczym nieskoordynowane narastanie na frontonach domów i gmachów użyteczności publicznej, przez ich plastyczną miałkość i bezbarwność. Szata informacyjna jest zbyt ważkim elementem scenografii miasta, żeby można ją było traktować jako zło konieczne i pozostawiać własnemu losowi. Przykładów, że takie postępowanie jest niesłuszne, szkodliwe z wielu względów mamy aż nadto. Z kolei znajdzie się wiele wzorów — jeśli brak już własnej inwencji, — z których czerpać można pożyteczne nauki. Stare to dziś prawdy, że szata informacyjna powinna wzbogacać pejzaż miasta, ukrywać jego architektoniczne słabostki i braki, podkreślać jego uroki, operując nowoczesnymi efektami plastycznymi, sensownie wkomponowanymi akcentami kolorystycznymi, w funkcjonalny sposób rozmieszczając podniety informacyjne.

Tymczasem pejzaże naszych miast obfitują w nieskończoną ilość przypadków ordynarnego ich zeszpecenia. Przede wszystkim to wielkie, reklamowe malowidła ścienne, którym z reguły brak „plastycznego pomysłu", „reklamowego dowcipu", brak koloru i formy, brak elementarnego powiązania z architekturą, na której są umieszczane. Te same schematy reklam PKO-wskich, fotograficznych, ZURT-owskich i innych, które spotkać można we wszystkich miastach polskich, wywołać mogą słusznie efekt wręcz przeciwny do tego, jakiego oczekuje zleceniodawca. Nadto, jaki sens ma umieszczanie na murach nowoczesnego osiedla napisów wykonanych stylizowaną, secesyjną czcionką? Albo jaki sens ma malowanie na szarym tynku w szarej ulicy szarych liter, kiedy i domy, i ulica, i wymogi reklamy proszą się o kolor, o uśmiech. Poczynania takie kierowane są prawami doprawdy nie pojętymi dla zdrowego rozsądku. Innym rażącym błędem jest kilkakrotne powtarzanie tej samej informacji na tym samym budynku i na dodatek w tej samej formie. Albo umieszczanie obok siebie informacji o różnym charakterze, ale na tych samych prawach, bez żadnego planu. Albo na przykład wielkość napisów, stojąca w jawnej sprzeczności ze skalą budynku — jedne „wydzierają się", zagłuszając architekturę, inne są niemal niewidoczne. Niektóre szyldy i plansze deformują groteskowo architekturę, a ich przypadkowe sąsiedztwo stwarza wrażenie niechlujstwa i bałaganu, nie mówiąc już o tym, że dyskwalifikuje niejednokrotnie ich treść. Gdzie indziej z kolei skwery i trawniki zagracone są stojakami i planszami, za którymi kryją się wstydliwie rabaty kwiatów i klomby. O poziomie plastycznym większości reklam, ogłoszeń, szyldów, tablic, wywieszek lepiej nie wspominać. Można by z tego ułożyć album, który ucieszyłby serca dadaistów, surrealistów i miłośników ponurej groteski.

Osobną i ważką sprawą jest uliczne eksponowanie plakatów. Ta dziedzina kryje w sobie sprzeczności zgoła paradoksalne. Plakat dostąpił nie lada awansu społeczno-artystycznego z jednej strony, z drugiej zaś doświadczył bolesnej, ulicznej degradacji, która temu awansowi przeczy i w pewnym sensie go przekreśla. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat plakat stał się naszą „sztuką narodową", doczekał się niezliczonych wystaw międzynarodowych i krajowych, doczekał się własnego muzeum w Wilanowie, doczekał się wreszcie własnych, ogromnych spektakli — katowickie i warszawskie Biennale, wreszcie opracowań monograficznych i naukowych. Znalazł sobie miejsce w domach prywatnych i w muzeach, a jednocześnie został praktycznie wypędzony z ulic naszych miast, przegnany gdzieś na peryferie, w zaułki, gdzie pies z kulawą nogą chadza, został zdegradowany w codziennym życiu miasta do elementu niepotrzebnego i przypadkowego. Wiedzie bowiem plakat życie światowe na wystawach i w albumach, ale życie to dalekie jest od artystycznych i informacyjnych funkcji, do których został przecież powołany. Zainteresowaniu, jakie budzą jego sukcesy w kraju i za granicą, towarzyszy równie duża obojętność dla jego roli w życiu ulicy. I tak staje się on bezdomnym włóczęgą na płotach i ślepych ścianach domów. Włóczęgą, który wciska się w każdy kąt, dla którego przestrzeń życiowa z każdym

Andrzej Grun — „Kaprys"

dniem kurczy się coraz bardziej. Nieliczne słupy ogłoszeniowe, jakie zostały w miastach jeszcze sprzed wojny, rozsiane z rzadka na peryferiach, są jego ostatnimi bastionami. Litościwi ludzie zbudowali mu co prawda „nowoczesne" stelaże, na których czuje się on jednak źle, bo życie jego to życie w gwarze innych plakatów, z z którymi tworzy barwny, różnorodny fresk. Na słupach ogłoszeniowych toczyła się zawsze zażarta walka najaktualniejszych plakatów z mniej aktualnymi, co dawało w efekcie intensywny obraz miejskiego życia. Znika więc azyl dla plakatu, a wraz z nim płaszczyzny barwnych płacht, które są — temu nikt zaprzeczyć nie może — uśmiechem i urokiem ulicy, są symbolem jej żywotności i różnorodności, są ważnym źródłem informacji wizualnej i poglądową lekcją wychowania estetycznego. Problemu tego nie rozwiążą takie czy inne stelaże. To zagadnienie o wiele szersze, bo związane z miejscem plakatu we współczesnej architekturze i urbanistyce. To problem do przemyślenia dla plastyków, architektów, urbanistów i ojców miasta. A wystawy i muzea winny być punktem końcowym ulicznej wędrówki plakatu, a nie wędrówki tej zastąpieniem.

Przeszłość i teraźniejszość

Ostatnie lata II Rzeczypospolitej

„Wydaje się, że historia jest tą dziedziną nauki, która uzasadnia nazbyt może wiele pesymistycznych wniosków. Dlatego każdy przejaw odnowy, przełamywania przesileń, z których to, co nowe i żywotne wychodzi jako dająca się uchwycić tendencja, winien być troskliwie upamiętniony. Nie po to, by go wyolbrzymiać, lecz po to, by utrwalać te przesłanki postępu, których świadomość może być przydatna i dziś".

W książce Hanny i Tadeusza Jędruszczaków „Ostatnie lata Drugiej Rzeczypospolitej (1935—1939)" (KiW 1970) nie chodzi jednak o metodologiczne problemy historii. Jej celem jest przedstawienie czytelnikowi „głównych wydarzeń i problemów ostatnich lat Drugiej Rzeczypospolitej", a więc przedstawienie szczególnie ważnego dla naszego kraju wycinka procesu dziejowego. Autorzy podjęli jednak ten trud nie dlatego, aby wzorem swych poprzedników raz jeszcze zreferować znany na ogół przebieg wydarzeń — boć przecie wiele już o nich wiadomo — lecz dlatego, że mieli do zaprezentowania własny pogląd na nie. Książka ta wyrasta bowiem nie z chęci uzupełnienia dotychczasowych ujęć naszej historiografii, ile raczej z opozycji w stosunku do nich, z uzasadnionego sprzeciwu badaczy wobec rozpowszechnionych historycznych schematów. Ambicją autorów jest tedy nie tyle dorzucenie do aktualnego stanu wiedzy historycznej nowych ustaleń faktycznych, ile zreformowanie całokształtu ujęcia, zaprezentowanie nowego spojrzenia na dzieje Polski w latach bezpośrednio poprzedzających II Wojnę Światową.

Historyk nieczęsto formułuje wprost dyrektywy metodologiczne, które przyjmuje w swym badaniu, bowiem głównym jego przedmiotem zainteresowania jest mimo wszystko nie to, jak pisać historię, ile to, jak przedstawiały się dzieje. Dlatego założeń książki Jędruszczaków musimy się doczytywać na drodze analizy ich wykładu i wnioskować o nich z ich praktycznej realizacji. Takie postępowanie krytyka jest najzupełniej uzasadnione: skoro przedstawiona przez autorów rewizja dotychczasowego obrazu nie wynika ze zmiany faktycznej podstawy uogólnień, musi wypływać z przyjęcia przez nich odmiennych reguł historycznego rozumowania.

Sądzę, że u podstaw nowego spojrzenia na dzieje ostatnich lat drugiej niepodległości, zawartego w książce Jędruszczaków, znajdujemy trzy zasadnicze dyrektywy metodologiczne. Pierwszą z nich jest zasada dynamicznego ujmowania procesu dziejowego trafnie uogólniona w sformułowaniu przytoczonym przez nas na wstępie niniejszego sprawozdania. Oznacza to, że ujmując proces dziejowy dialektycznie, jako proces walki ścierających się ze sobą sił, nie zaś automatycznie jako fatalistyczny ciąg nieuchronności, w zgodzie z podstawowymi dyrektywami marksizmu autorzy starają się dostrzec w nim to co nowe, rodzenie się nowych tendencji zmierzających do zmiany istniejących stosunków. Widzę tu nawiązanie do wielkiej tradycji dawniejszego polskiego dziejopisarstwa, do tradycji Lelewela, warszawskiej szkoły pozytywistycznej, Askenazego i Handelsmana, słowem tej tradycji, która rozpatrując dzieje upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej wskazywała na to, że nastąpił on właśnie wtedy, gdy ówczesne państwo i społeczeństwo polskie podjęły kolosalny wysiłek celem naprawy istniejących wadliwych stosunków. Zastosowanie tej dyrektywy metodologicznej do badania polskiego procesu dziejowego w okresie 1935—1939 dało autorom możność ukazania tych przemian, jakie powoli, może często zbyt powoli, torowały sobie drogę w tamtych trudnych czasach, zarówno w płaszczyźnie stosunków politycznych, ustrojowych, jak ekonomicznych czy społecznych. Dopiero w takim ujęciu znalazła się właściwa perspektywa dla zrozumienia roli polskiej lewicy rewolucyjnej i lewicy w ogóle.

Drugą dyrektywą metodologiczną, przyjętą przez autorów książki jest zasada integralności historycznego badania. Skoro proces dziejowy ma charakter integralny historyk zmierzający do jego pełnego poznania winien dążyć do ogarnięcia go w całym jego wszechzwiązku i wielostronności. Dlatego książka Jędruszczaków stara się ukazać procesy, zachodzące w Polsce lat 1935—1939 we wszystkich możliwych płaszczyznach — stosunków politycznych, ustrojowych, społecznych, ekonomicznych itd. I wreszcie trzecia dyrektywa badawcza jaka legła u podstaw koncepcji autorów, to zasada uniwersalizacji spojrzenia na dzieje narodowe, wynikająca zresztą z poprzedniej. Chodzi bowiem o to, że przyjmując w badaniu polskiego procesu dziejowego zbyt wąski, jedynie „polski" układ odniesienia, łatwo dojść do nieuzasadnionych pesymistycznych schematów. Nie tylko dzieje lat 1935—1939 ale i każdego innego okresu winniśmy badać w perspektywie historii powszechnej, bowiem w niej się one realizowały. Uniwersalizacja spojrzenia na dzieje narodowe jest wielkim problemem współczesnej historiografii, bowiem tylko na tej drodze możemy wyzwolić się z popularnych a nieuzasadnionych historycznych mitów i skrajności zarówno pesymizmu, jak i historycznego hurraoptymizmu.

Nie do mnie należeć będzie ocena, czy ujęcie zaprezentowane w książce Jędruszczaków jest w każdym przytoczonym przez autorów szczególe bezbłędne, czy wyzyskali oni w pełni dostępny materiał źródłowy itd. Wypowie się o tym fachowa krytyka. Jednakowoż nie w warstwie faktyczno-informacyjnej leży nowatorstwo tej książki: polega ono na zastosowaniu w niej nowoczesnego, współczesnego modelu historycznego badania. I właśnie dzięki temu udało się autorom uniknąć w swej książce schematyzmu i mitologii. Wnioski, jakie z niej płyną, nie są ani ultrapesymistyczne, ani hurraoptymistyczne, bowiem dzieje nigdy nie bywają ani totalnie złe, ani absolutnie dobre. Wszechstronny obraz polskiego procesu dziejowego lat 1935—1939 zaprezentowany przez Jędruszczaków jest po prostu bardziej prawdziwy i właśnie dlatego godzien ze wszech miar uwagi. „Pisaliśmy tę książkę z przeświadczeniem — powiadają autorzy we wstępie — że owe dwadzieścia lat, które złożyły się na historię Drugiej Rzeczypospolitej, to okres niezmiernie ważny w procesie kształtowania świadomości narodowej współczesnego Polaka. Odrzuciwszy wszystko, co w tym okresie było złe i kształtując obecną rzeczywistość na innych, socjalistycznych zasadach, społeczeństwo polskie zachowuje jednocześnie pełną świadomość ciągłości tradycji narodowej, formowanej w warunkach odrodzonej państwowości".

JÓZEF GRZELAK

Już w stuleciach XVI i XVII spotykamy łodzian w albumach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na przestrzeni półtora wieku tj. od końca XV do XVII wieku zachowały się w albumie — najstarszej polskiej uczelni nazwiska 19 łodzian. Niektórzy spośród nich uzyskali zaszczytne tytuły doktorów, profesorów a nawet dziekanów wydziałów.

MIECZYSŁAW BANDURKA

Nim Łódź stała się ośrodkiem akademickim

Mimo słabego rozwoju miasta, w jego dziejach tkwiły tradycje kontaktów z wyższą uczelnią. Dlatego też przy wszelkiego rodzaju nadarzających się okazjach łodzianie bardzo czynnie zabiegali o zorganizowanie wyższych uczelni. Rada Miejska i Magistrat m. Łodzi, zaciągając pożyczkę w imieniu obywateli miasta na rzecz Instytutu Politechnicznego na zebraniu w dniu 10.XII.1864 r. stwierdziły, że założenie szkoły wyższej „przyniesie miastu znakomite korzyści, tak pod względem intelektualnym, jak i materialnym".

Szybko rozwijający się w XIX stuleciu przemysł łódzki wymagał stałego dopływu nowych sił fachowych. To też już w pierwszych latach po założeniu większych przedsiębiorstw rozpoczęto starania o zorganizowanie szkół zawodowych. Nowe urządzenia techniczne w rosnących stale fabrykach łódzkich wymagały wysoko kwalifikowanych specjalistów. Tym potrzebom mogła sprostać tylko wyższa uczelnia techniczna. **Problem ten nurtował łodzian przez 80 lat, aż wreszcie został zrealizowany w 1945 roku.**

Pierwsze kroki poczyniono już w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Realne podstawy stwarzała ustawa Aleksandra II z dnia 20.V.1862 r. o utworzeniu Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-Leśnego w Puławach. Uczelnia ta niedługo jednak funkcjonowała, bo zaledwie od października 1862 r. do stycznia 1863 r. Dnia 31 stycznia zawieszono wykłady. Reaktywowanie tej uczelni miało nastąpić po upadku powstania, jednak już w zmienionej formie. Instytut Politechniczny miał być wydzielony i ulokowany w Łodzi lub w jednym z okolicznych miast. W odpowiedzi Łódź i Zgierz natychmiast wszczęły energiczne starania. Zwyciężyła Łódź.

Łodzianie, zadowoleni z decyzji Komisji Rządowej, niezwłocznie oddali pod budowę uczelni plac oraz zabezpieczyli w Banku pożyczkę w wysokości 75 tys. rubli. Akces swój zgłosiło ponad 300 obywateli miasta. W takiej sytuacji Dyrektor Główny w Komisji Rządowej, Witte wydał jak najprzychylniejszą opinię oraz naglił, by niezwłocznie przystąpić do budowy gmachu. Natomiast otwarcie Instytutu winno nastąpić natychmiast. Na jej tymczasowe pomieszczenie zostały wynajęte domy przy ul. Piotrkowskiej 262 i 277, zaś miejscem nowego budynku miał być plac u zbiegu ulic Przejazd i Dzikiej (Sienkiewicza) naprzeciwko budującego się wówczas kościoła św. Krzyża. Z siedmiu nadesłanych na konkurs projektów, pierwszą nagrodę przyznano Karolowi Martinowi, profesorowi architektury w Puławach. Specjalny delegat wydzielił z Instytutu w Puławach instrumenty i pomoce naukowe przeznaczone dla Politechniki Łódzkiej. Do Łodzi zaczęły nadchodzić przesyłki zawierające książki dla biblioteki Instytutowej oraz aparatura i meble. Wszystko układało się pomyślnie.

W początkowym okresie starań również władze carskie przychylnie ustosunkowały się do projektów Łodzi. Jednak po doświadczeniach Powstania 1863 roku, w którym młodzież akademicka wzięła czynny udział, władze carskie do końca swych rządów nie wyraziły zgody na założenie wyższej uczelni w Łodzi. W latach osiemdziesiątych zdołano jedynie zorganizować nową szkołę techniczną, tzw. później „Politechnikę Łódzką". Szkoła ta, aczkolwiek była szkołą średnią, **przez wiele dziesiątków lat dostarczała poważnych sił fachowych przemysłowi łódzkiemu.**

Z momentem odzyskania niepodległości w 1918 r. łodzianie przypuścili nowy atak na władze centralne — tym razem już polskie, celem zorganizowania wyższej uczelni w Łodzi. **Wola łodzian została wyrażona we wniosku zgłoszonym w Sejmie w dniu 15 marca 1921 roku przez ówczesnego posła łódzkiego Ludwika Waszkiewicza.** Wniosek ten został przychylnie przyjęty przez opinię sejmową, jednak tym razem na przeszkodzie stanęła ciężka sytuacja materialna kraju. Podobny los spotkał starania czynione w 1923 i 1928 roku. Starania 1928 roku zostały uwieńczone **otwarciem jedynie Oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej.**

O potrzebie założenia wyższej szkoły w Łodzi świadczą liczby studentów tej uczelni. Kiedy w pierwszym roku liczba ta wynosiła 160 osób, to w roku akademickim 1936/37 przekroczyła 500, a w roku akademickim 1938/39 ponad 1000. Na popularność tejże szkoły wpłynął fakt nadania poszczególnym kierunkom studiów uprawnień uniwersyteckich tj. nadawania tytułów magisterskich. Wolna Wszechnica Polska nie posiadała jednak wydziału lekarskiego ani też kierunków politechnicznych i handlowych.

I oto z inicjatywy kilku miejscowych lekarzy rozpoczęto starania o zorganizowanie wyższej uczelni lekarskiej. Z ich inicjatywy powstało **stowarzyszenie pod nazwą „Organizacja Wyższej Uczelni Lekarskiej w Łodzi".** Niezależnie od tych inicjatyw grupa działaczy oświatowych w 1937 r. **wysunęła zagadnienie powstania Wyższej Uczelni Handlowej.** Powołany został komitet organizacyjny, w skład którego zaproszono prezydenta m. Łodzi, wojewodę łódzkiego oraz dowódcę garnizonu.

Natomiast w prasie łódzkiej ukazywały się artykuły dyskusyjne i rozważania na temat charakteru przyszłej uczelni. Wysuwano trzy koncepcje: uniwersytetu, politechniki i studium handlowego. Większość wypowiadała się za zorganizowaniem Wyższego Studium Handlowego. W dniu 16.XI. 1937 r. odbyło się w Izbie Przemysłowo Handlowej posiedzenie komitetu organizacyjnego, który miał realizować projekt „powołania do życia wyższej uczelni w Łodzi o typie handlowym". Przedyskutowano też projekty statutów i postanowiono przedłożyć je do zatwierdzenia w Urzędzie Wojewódzkim. Okazję do nowej dyskusji stworzyło poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy budynek Wolnej Wszechnicy, w którym uczestniczył Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dr Świętosławski, wygłaszając interesujące przemówienie na rzecz wyższej uczelni w Łodzi.

Najbliższa realizacji była jednak inicjatywa Komitetu Wyższej Uczelni Lekarskiej. Inicjatorem wszelkich poczynań w tym względzie był profesor W. Tomaszewicz. Akcję na rzecz Akademii Lekarskiej w Łodzi prof. Tomaszewicz zainicjował kilkakrotnym wystąpieniem na łamach prasy łódzkiej, gdzie omówił konieczność jej założenia, jak również przedstawił losy młodzieży łódzkiej kończącej średnie zakłady naukowe i pozostającej bez możliwości ukończenia studiów wyższych. Obok prof. Tomaszewicza w skład grupy założycieli wchodziło 16 znanych osobistości w Łodzi. Między innymi ks. biskup Tomczak, ówczesny prezydent m. Łodzi Godlewski oraz fabrykant Robert Geyer i 8 lekarzy. Statut stowarzyszenia został zatwierdzony przez Wydział Społeczno-Polityczny Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego w dniu 10 grudnia 1938 roku. Jak głosi § 5 statutu, „Stowarzyszenie ma na celu przeprowadzenie prac przygotowawczych (tereny, gmachy, zbiórka funduszów), w celu powołania w przyszłości we właściwej drodze prawnej do życia — Wyższej Uczelni Lekarskiej w Łodzi. Środkami działania Stwarzyszenia są: urządzanie zbiórek, odczyty, propagowanie idei powołania do życia uczelni".

Mimo skromnych możliwości finansowych, działalność Stowarzyszenia była żywa i owocna. „Nowiny Społeczno-Lekarskie" oceniając sytuację donoszą, że „sprawa założenia Akademii Lekarskiej w Łodzi posuwa się szybkimi krokami ku realizacji". W dalszym ciągu tego artykułu „Nowiny Lekarskie" donoszą, „że społeczeństwo łódzkie uważa, że Łódź, mając szpitalnictwo różnorodne i bardzo rozbudowane, posiada wszelkie niezbędne warunki, aby w mieście tym założona została Akademia Lekarska". W tej sprawie zabrał głos dr Stanisław Stańczak, inspektor szpitalnictwa miejskiego w Łodzi, w referacie pt. „Szpitalnictwo łódzkie jako podstawa tworzenia Wydziału Lekarskiego w Łodzi" wygłoszonym na I Ogólnopolskim Zjeździe w Sprawach Szpitalnictwa w dniach 2—4 października 1938 r. w Warszawie. Autor referatu posługując się danymi statystycznymi udowodnił, że **szpitalnictwo łódzkie jest dostatecznie przygotowane ilościowo i jakościowo do przygotowania go do potrzeb klinicznych.** W wielu przypadkach łódzkie szpitale ustępowały jedynie szpitalom warszawskim. Na szczególne podkreślenie zasługiwało szpitalnictwo dziecięce w Łodzi. Natomiast szpital dziecięcy Anny Marii pod względem naukowym zorganizowany przez rektora prof. dr Brudzińskiego, pod wielu względami wysuwał się na pierwsze miejsce w skali całego kraju.

Charakterystyczna dla tego okresu była polemika prasowa, jaka toczyła się wokół zagadnienia wyższej uczelni lekarskiej w Łodzi. Obok codziennej prasy zagadnieniem tym zajęły się również czasopisma medyczne. I tak „Nowiny Społeczno-Lekarskie" przytaczają ciekawą polemikę, a nawet wystąpienia poszczególnych ośrodków uniwersyteckich. Wokół sprawy uczelni lekarskiej „toczą się zawzięte boje", a niektóre wydziały lekarskie „prowadzą ożywioną kontrofensywę", stwierdza autor cytowanego artykułu.

W dniu 12 października 1938 r. Bratnia Pomoc — Pomoc Medyków UJ w Krakowie zorganizowała zebranie protestacyjne pod hasłem „Obrona przyszłości młodzieży medycznej uniwersytetów". Zebrani uchwalili między innymi rezolucję przeciwko Akademii Lekarskiej w Łodzi. Wysunięto szereg argumentów, które miały świadczyć o słuszności ich postulatów. Na znak protestu uchwalono trzydniowe powstrzymanie się od wszelkich zajęć uniwersyteckich. Rezolucja ta została wręczona władzom uniwersyteckim z prośbą o poparcie oraz z apelem o solidarność do społeczeństwa lekarzy i studentów medycyny. Zebranie odbyło się pod przewodnictwem kuratora Bratniej Pomocy, prof. E. Godlewskiego. Do podobnych wystąpień przeciwko utworzeniu Akademii Lekarskiej w Łodzi, doszło również w Poznaniu. W Wilnie natomiast endecki odłam młodzieży akademickiej podjął rezolucję o założeniu szkoły felczerskiej w Łodzi. Również większość osób ze świata lekarskiego zabierających głos w dyskusji dotyczącej Akademii Lekarskiej w Łodzi, wypowiadała się przeciwko otwarciu wyższej uczelni medycznej. Wywody swe tłumaczono „nadprodukcją lekarzy w Polsce".

Zdarzały się jednak głosy rozsądne, nie tylko domagające się otwarcia nowej uczelni lekarskiej, ale nawet uspołecznienia całej służby zdrowia. Piętrzące się trudności ,nie zniechęciły komitetu organizacyjnego. W dalszym ciągu czyniono usilne starania dla zrealizowania zamierzonego celu. Delegacja, która interweniowała u ministra Kościałkowskiego w sprawie otwarcia w Łodzi wyższej uczelni lekarskiej otrzymała obietnicę uzyskania odpowiednich funduszów na ten cel. „Na powyższy cel została już wniesiona do budżetu na rok 1939/40 kwota 2 milionów złotych. Najprawdopodobniej Komitet Organizacyjny Uczelni otrzyma pierwsze sumy jeszcze w roku bieżącym".

W Łodzi natomiast odbyło się zebranie komitetu organizacyjnego, na którym postanowiono niezwłocznie przystąpić do budowy gmachu na pomieszczenia uczelni. Celem realizacji uchwały powołano Towarzystwo Budowy Gmachu Wyższej Uczelni w Łodzi.

Wojna przekreśliła wszystko, zarówno olbrzymi wysiłek działaczy łódzkich, jak również obietnice ze strony władz państwowych. Ażeby zrealizować tak słuszne postulaty trzeba było przeżyć jeszcze pięć lat straszliwej grozy wojennej.

„Marzec 1945. Jeszcze nie umilkł huk dział, ani warkot samolotów i terkot karabinów maszynowych"... „garstka szaleńców podejmuje się dzieła, które przerasta ich siły, a mianowicie zaczyna organizować Uniwersytet Łódzki z Wydziałem Lekarskim, Farmaceutycznym i Stomatologicznym" (z przemówienia prof. Muszyńskiego na inauguracji roku akademickiego).

Prace organizacyjne rozpoczęły się niemal nazajutrz po wyzwoleniu. Już w dniu 30 stycznia nastąpiło spotkanie inicjatora przedwojennych poczynań prof. W. Tomaszewicza z szeregiem innych naukowców, którzy powzięli „szalony" plan uruchomienia Uniwersytetu ze wszystkimi wydziałami. **Równolegle władze miejskie i państwowe czyniły usilne starania o uruchomienie wyższych uczelni w Łodzi. W dniu 24 maja zostały uchwalone dekrety o utworzeniu Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej.**

Marzenia i usilne starania wielu pokoleń łodzian ziściły się. Łódź stała się poważnym ośrodkiem akademickim.

Z woleja

Piłkarski „szczyt" w Meksyku

Komunikat PAP brzmiał jak sprawozdanie z uroczystego powitania głowy państwa „... lotnisko otoczyło 78 policjantów i kilkudziesięciu detektywów. Samochód, którym ją wieziono, miał również policyjną eskortę — 7 motocyklistów i kilka wozów policyjnych...." Tymczasem była to tylko wiadomość o przywiezieniu do Meksyku statuetki Złotej Nike — największego piłkarskiego trofeum świata. Działo się to 9 stycznia br. na dzień przed losowaniem finałów IX piłkarskich mistrzostw świata, które 31 bm. rozpoczną się w Meksyku.

O co walczyć będzie 16 najlepszych zespołów piłkarskich świata, reprezentujących szczyt kunsztu tej najpopularniejszej na świecie dyscypliny sportu? Formalnie — o złoty posążek, w którym zawartość tego kruszcu wynosi 3,8 kg, a jego wartość 7 tysięcy dolarów. Praktycznie — o ogromną sławę przede wszystkim dla kraju, który zajmie I, II i III miejsce, o popularność zawodników, ich trenerów, o dochody menażerów.

Złotą Nike z należnymi jej honorami umieszczono w skarbcu „Banco de Comercio", skąd wyjrzy na światło dzienne 21 czerwca br., czyli w dniu meczu decydującego o mistrzostwie świata. Spotkania finałowe rozpoczną się, jak już wspomnieliśmy, meczem Meksyk — ZSRR, który 31 bm. o godzinie 12 odbędzie się na stadionie Azteca w Meksyku, mieszczącym ponad 100 tys. widzów.

Bogata jest historia ośmiu dotychczasowych finałów, trudno jest ją ująć w szczupłych ramach felietonu. Warto jednak przypomnieć, że począwszy od mistrzostw urugwajskich w 1930 roku, od bywały się one co cztery lata, z przerwą spowodowaną przez wojnę. Największe sukcesy odnosili w nich, jak do tej pory, Brazylijczycy, którzy jako jedyna ze wszystkich drużyn, startowali we wszystkich 9 finałach i odnieśli najwięcej triumfów, jako dwukrotny mistrz świata (1958 r. Szwecja i 1962 r. Chile) raz wicemistrz (1950 rok Brazylia, i raz zdobywca III miejsca (1938 r. Francja). Po dwa tytuły mistrzowskie zdobyli także piłkarze Urugwaju (1930 r. Urugwaj i 1950 r. Brazylia) oraz Włoch (1934 r. we Włoszech i 1938 r. Francja). Po jednym tytule mistrzowskim zdobyli piłkarze NRF (1954 r. Szwajcaria) i Anglia (1966 r. w Anglii). Polskie piłkarstwo tylko raz dostąpiło zaszczytu startowania w finale mistrzostw świata. Było to w 1938 r. w Strasburgu, gdzie w dramatycznym pojedynku, po dogrywce, uległiśmy Brazylii 5:6 (w normalnym czasie wynik meczu brzmiał 4:4). Dawne to były czasy i jak do tej pory nie możemy się doczekać przyzwoitego polskiego zespołu reprezentacyjnego, który mógłby stanąć w gronie 16 najlepszych drużyn świata. Co gorsza, obserwując aktualny stan naszego piłkarstwa nie mamy zbyt wielu szans, by w najbliższym czasie stworzyć jakiś wyrównany zespół. Owszem, stać nas na sporadyczne sukcesy, ale żeby odnosić triumfy na najwyższym poziomie, musimy mieć przede wszystkim równą, będącą stale w dobrej formie, drużynę.

Ale dosyć już o sprawach przykrych. Zastanówmy się może nad szansami zespołów, które za kilka dni staną do walki o tytuł mistrza świata. Fachowcy twierdzą, że najprawdopodobniej największą szansę na finał mają zespoły Anglii i Brazylii. W ogóle należy przypuszczać, że dojdzie już od pierwszych spotkań do ciekawej konfrontacji brzydkiego, „żelaznego" i bardzo skutecznego futbolu europejskiego z pełnym dynamizmu i błyskotliwej techniki piłkarstwem środkowo- i południowoamerykańskim. Może zaistnieć tutaj jednak pewna różnica w stosunku do mistrzostw angielskich. Przez owe 4 lata przerwy Brazylijczycy, Meksykańczycy i piłkarze pozostałych państw tej części globu, starali się przeszczepić na swój grunt najlepsze cechy piłkarstwa europejskiego, nie tracąc swoistych cech reprezentowanych przez siebie. Tak więc wiele się mówi o dużych szansach Urugwaju, Meksyku i Peru, chociaż nie odmawia się ich także NRF i Włochom. Cóż, jak będzie, zobaczymy.

Przepraszam, nie zobaczymy. Doszły nas bowiem słuchy, że polska telewizja nie będzie przeprowadzała transmisji z meksykańskich finałów. Zdaję sobie sprawę, że wpływ mają na to ogromne koszty tych transmisji, niemniej jednak sądzę, że powinno się wykorzystać wszelkie szanse, aby milionowe rzesze polskich kibiców piłkarskich miały taką samą radość, jak bez mała wszystkie kraje świata.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

O pożytkach z ziół płynących

„Dlaczego nie mianoby używać niewinnych ziół i roślin? Czy nie dawamy chorym sałaty i szpinaku lub szparagów i selery, albo chrzanu i rzodkwi, albo cebuli i pietruszki lub im nawet tego nie przepisujemy? Opisując tylko najgłówniejsze zioła lecznicze, pomnożę przez to liczbę ziół, które bezwiednie jako jarzynę wżywamy. Istnieje wielka liczba ludzi, którzy są już o dobroci lecznictwa przyrodnego przekonani, ale u chorych wkorzeniła się wiara w lekarstwo tak, że w danym przypadku tylko niechętnie bez flaszki z medycyną się obywają. Ci niechaj więc wybiorą z naszego skarbca zielnego to lub owo zielę. Korzystny skutek nastąpi prawie zawsze, a wszelka szkodliwa działalność jest z pewnością wykluczona."

Tak starał się przekonać niechętnych do ziół w 1901 roku pewien lekarz, zajmujący się ziołolecznictwem. Ale przecież historia tego najstarszego leku, znanego ludzkości — rośliny, sięga czasów pierwotnych, kiedy pasterze, obserwujący działanie ziół na zwierzętach, podawali je później ludziom. Znając dobrze działanie najsilniejszych ziół, kapłani egipscy przypisywali sobie dzięki nim cudowną moc. Autorstwa kapłanów egipskich są pierwsze recepty pisane w Papyrusie Ebersa, pochodzące z XVI wieku przed naszą erą. W V wieku przed naszą erą Hipokrates znał już 120 gatunków ziół leczniczych. Ziołolecznictwo rozwijało się w Grecji, Rzymie, jednocześnie w Chinach, Tybecie i Indiach. Z Indii rośliny lecznicze, charakterystyczne dla tamtejszej flory, przeniknęły do Europy i tu zadomowiły się. Któż by się domyślił, że pospolite dziś — szałwia, tymianek, mięta, koper włoski — przybyły do nas z daleka.

Czy można mieć zaufanie do leków, których tradycja liczy trzydzieści pięć tysięcy lat? Z pewnością można. Więc po latach lekceważenia, po latach odejścia do leków syntetycznych, znów zaczynamy przebąkiwać, że czosnek to jak penicylina (prawie) i zaczynamy spoglądać ku ziołom. Nie tylko w Polsce. W kwietniu odbyło się w Poznaniu międzynarodowe sympozjum poświęcone postępowi w leczeniu ziołami, a zagraniczni goście bardzo chwalili rozwój tej gałęzi lecznictwa w naszym kraju.

My sami nawet nie zauważyliśmy w jak wielkim stopniu korzystamy z ziół. Na półkach każdej z naszych aptek stoją szeregi najpopularniejszych leków ziołowych made in „Herbapol", nie mówiąc już o branżowych sklepach tej wytwórni. Niemniej leczenie ziołami wciąż ma ogromną przyszłość, a świadczą o tym wahania w wykonaniu planu przez niektóre sklepy „Herbapolu" w małych miasteczkach. Od czasu do czasu plan ten jest wykonywany nadspodziewanie wysoko i zawsze świadczy to o pojawieniu się w okolicy zielarza-cudotwórcy.

„Herbapol" posiada ogromne zakłady produkcyjne w wielu miastach kraju. Jeden z nich znajduje się w Łodzi. Niewielki pod względem zatrudnienia (siedemnaście osób), ale wielki pod względem wartości produkcji (około 180 milionów złotych rocznie). Jedyny tego rodzaju w kraju — produkujący olejki eteryczne. Rozmowa z dyrektorem naczelnym łódzkiego zakładu mgr Zdzisławem Staroszem i jego zastępcą do spraw produkcji inż. Władysławem Kwiatkowskim, upewnia mnie w przekonaniu, że o olejkach eterycznych nic właściwie nie wiemy. A tymczasem to prawie poemat. Albowiem jest to sam aromat, naturalny składnik zapachowy w roślinie, składający się z około dwudziestu różnych składników chemicznych, a ich odpowiednie proporcje dają właśnie to co nas w roślinach najbardziej zachwyca. Tu pachnie sosna, tam tymianek, zapach chmielu też się niektórym podoba, owdzie jeszcze mięta... Właśnie, mięta. Nawet nie zdajemy sobie sprawy jaką rolę odgrywa ona w naszym życiu. Nie mówiąc już o likierze miętowym, mamy miętę w kroplach, herbatę z mięty, w domu, napar z mięty w zakładach pracy — w czasie upałów, miętę w lekach, cukierki miętowe, miętę w paście do zębów i tak dalej i dalej.

Nic dziwnego, że produkcja olejku miętowego zajmuje pierwsze miejsce przed sosnowym, kminkowym i jodłowym. Produkuje się tu około 20 rodzajów olejków i to roślin czasem całkiem nieoczekiwanych. Na przykład z nasion marchwi. W kraju nie cieszy się on uznaniem, cała niemal produkcja przeznaczona jest na eksport. Kupuje Francja dla przemysłu perfumeryjnego i to najbardziej wyszukanego. Być może nasz olejek marchwiowy uszlachetnia aromaty „Soir de Paris", może perfumy Chanel, a może Cotiego.
Albo olejek lubczykowy. Tak, tak to właśnie ten lubczyk. U nas w kraju nie ma zapotrzebowania, cała produkcja idzie na eksport, głównie do NRF, ale nie w tym celu, co państwo myślą. Lubczyk używany jest do przypraw i sosów. Być może w ten sposób, przez żołądek do serca spełnia swą rolę jaką mu się przypisuje w podaniach i legendach. W ogóle większość produkcji łódzkiego zakładu przeznaczona jest na eksport. Między innymi olejki takie, jak kminkowy, tymiankowy, laurowy, na Zachodzie używane do przetworów i marynat zamiast naturalnych przypraw smakowych. Nasze olejki wędrują więc do USA, Francji, Austrii, NRF i in.

* * *

Dlaczego róża pachnie? Otóż nie ma w tej sprawie jednoznacznej opinii. Zjawisko wydzielania zapachu przez rośliny, wydzielania olejków eterycznych (w ciągu słonecznego dnia roślina traci ich bardzo dużo) było przedmiotem badań specjalistów, których nie przekonała do końca teoria zapachu jako wabika przyciągającego owady zapylające rośliny. Odkryli oni, że wydzielające się pod wpływem ciepła olejki eteryczne unoszą się nad kwiatem i tworzą jego naturalną osłonę przed wpływami atmosferycznymi. No tak, ale wobec tego dlaczego również korzenie niektórych roślin zawierają olejki? Pozostawmy ten problem specjalistom, bo i tak nie pomożemy w jego rozwiązywaniu.

Pracownicy łódzkiego „Herbapolu" mają inne kłopoty. Jednym z najistotniejszych jest problem jakości, a więc m. in. smaku i zapachu olejków. Nie jest to sprawa prosta, degustacji produktów dokonuje pięcioosobowa komisja, jako że na te wartości nie ma jednoznacznych sprawdzianów. Gusty odbiorców też są różne. Zamówienia traktuje się indywidualnie, trzeba pamiętać kto lubi zapach mięty z południa Polski, a kto z północy. Bowiem różnice w rodzaju gleby, klimatu itd. sprawiają, iż ta sama roślina z dwóch różnych plantacji może dawać nieco odmienne walory smakowe i zapachowe. Ta sprawa jest między innymi przedmiotem dociekań i prac laboratorium badawczego, działającego przy zakładzie.

Produkcja olejków eterycznych na skalę przemysłową nie posiada u nas tradycji, nie ma doświadczeń, ani opracowań naukowych. Na barkach laboratorium spoczywają więc wszelkie prace badawcze. Utrzymuje ono ścisłą współpracę z Katedrą Technologii Ziół i Aromatów Politechniki Łódzkiej. Studenci piszą prace naukowe na tematy wskazane przez zakład, który umożliwia im prowadzenie eksperymentów, a w zamian za to korzysta z wyników prac. Głównym kierunkiem badań laboratorium jest udoskonalenie procesu technologicznego produkcji i tu odnosi sukcesy. W ubiegłym roku za opracowanie nowej technologii uzyskiwania mentonu bezpośrednio z olejku miętowego inż. Kwiatkowski i mgr M. Kępińska otrzymali II nagrodę w konkursie racjonalizatorskim NOT na najlepsze osiągnięcie w dziedzinie techniki za 1968 rok. Nagrodzona metoda wprowadzona w ubiegłym roku do produkcji, dała ponad dwa miliony złotych rocznej oszczędności.

Ostatnio zakład włączył się do produkcji naturalnych barwników dla przemysłu cukierniczego. Łódzkie laboratorium otrzymało do opracowania kolor czerwony. Uzyskano go z czarnej malwy, produkt został przesłany do oceny. Poszerzając zakres działalności przystąpiono też do produkcji olejków półsyntetycznych na bazie terpentyny, znacznie tańszych od olejków naturalnych. Uruchomiono już produkcję olejku sosnowego, prowadzone są próby nad półsyntetycznym olejkiem jodłowym.

* * *

No dobrze, może ktoś powiedzieć, ale gdzie te zioła, te świeże, pachnące łąką i ogrodem? Są, łódzkiemu „Herbapolowi" podlegają wytwórnie w Kutnie, Kłomnicach i Tomaszowie Maz. Z kutnowskiej pochodzi właśnie to, co zwykliśmy sobie z nazwą „Herbapol" kojarzyć: lecznicze mieszanki ziołowe o numerach od 1 do 18 oraz niektóre zioła jednorodne. Kutno np. jest jedynym w kraju dostawcą majeranku, produkuje go około 120 ton rocznie. Z Kutna pochodzą kosmetyczne maseczki ziołowe w 12 rodzajach a także mieszanka do mycia włosów. Wytwórnia w Kłomnicach służy głównie gastronomii. Tu produkuje się pieprz ziołowy — a kto by to przypuszczał — zjadamy tej przyprawy 800 ton rocznie. Poza tym Kłomnice paczkują wszystkie zioła przyprawowe. W Tomaszowie znajduje się sortownia ziół pochodzących ze skupu. Sortuje się metodą równie starą co niezastąpioną: ręcznie. I niestety, rąk nie zastąpią tu żadne maszyny, one bowiem nie potrafią rozróżniać roślin.

* * *

Rok ubiegły nie był pomyślny dla zielarstwa. Susza odbiła się fatalnie na zbiorach, surowca jest znacznie mniej, a tymczasem rynek domaga się coraz większej ilości leków i środków roślinnych. Zresztą i epoka nie jest dla zielarstwa najlepsza. Chemizacja rolnictwa, stosowanie środków chwastobójczych — są wrogami roślin leczniczych, bo przecież wiele z nich to właśnie chwasty, żeby wymienić tu przykładowo tylko tak cenne jak skrzyp, mniszek lekarski, babkę, rdest, bławatek itd. W tych warunkach prowadzi się możliwie jak najszerzej zakrojoną akcję skupu, nie tylko poprzez plantatorów, ale również prywatnych zbieraczy ziół dziko rosnących. Podobno sezonowi zbieracze szczególnie kwiatu lipowego, bardzo chwalą sobie zarobki stąd uzyskiwane. My zaś chwalimy sobie zioła, bo — żeby się powołać na słowa cytowane na wstępie — „korzystny skutek nastąpi prawie zawsze, a wszelka szkodliwa działalność jest z pewnością wykluczona".

KAROL BADZIAK

Żeglarze Łodzi

Jest ironią losu, że miasto bez wody nazywa się Łódź. Ale druga ironia jest jeszcze większa; Łódź, po piłkarzach, posiada najwięcej żeglarzy. Sam Klub Sportów Wodnych przy LOK liczy ponad 300 osób. Powstał dwadzieścia lat temu. Obecnie obchodzi okrągły jubileusz. Minister żeglugi — Jerzy Szopa, także wywodzi się z naszego miasta, a pierwsze stopnie żeglarskie zdobywał właśnie w wodniackiej sekcji łódzkiego Klubu, który dawniej mienił się Ligą Morską. Łodzianinem jest także wiceadmirał Studziński, łodzianinem jest dowódca ratowniczego statku w Kołobrzegu — Puliński. Oficerów i marynarzy nie zliczysz.

W każdym bądź razie zjawisko jest z dziedziny fenomenologii. Może właśnie ów brak akwenu wodnego w pobliżu miasta jest źródłem żeglarskich i marynarskich powołań zrodzonych z tęsknoty za wodną romantyką. Któż z nas wie, ilu młodych ludzi pchnęły ku szerszym wodom stawy Stefańskiego? To od tego bajorka zaczynają przyszli kapitanowie mórz i oceanów, tam zdobywają pierwsze stopnie żeglarskie łódzcy wodniacy.

W ciągu dwudziestu lat Łódzki Klub Sportów Wodnych przeszkolił na stopnie żeglarskie około trzech tysięcy osób, w tym trzydziestu sterników i trzydziestu instruktorów żeglarstwa oraz piętnastu kapitanów żeglugi wielkiej i bałtyckiej. Zostać kapitanem, nawet żeglarstwa sportowego, wcale nie jest rzeczą łatwą. Trzeba zdać dziesiątki egzaminów z różnych specjalności, znać dwa języki obce, no i mieć praktykę, to znaczy przepłynąć ileś tam setek mil morskich i śródlądowych. Liczba kapitanów nie jest dla kraju rzeczą bagatelną. W Anglii w czasie ostatniej wojny, po małym przeszkoleniu, kapitanowie żeglarstwa pełnili funkcje kapitanów zawodowej marynarki.

Jest rzeczą bardzo interesującą, że mimo masowego charakteru żeglarstwa, istnieje mit o jego elitaryźmie i snobiźmie. Tymczasem liczba młodych ludzi, uprawiających ten sport w sposób zorganizowany przewyższa liczbę uprawiających lekkoatletykę, koszykówkę, siatkówkę, nie mówiąc już o boksie. Bokserów jest w Polsce dziesięć razy mniej niż żeglarzy, a mimo to naraziłbym się na gromki śmiech, gdybym śmiał twierdzić, że jest to sport elitarny. Rzecz cała polega na tym, że boks posiada miliony kibiców i to robi wrażenie jego masowości. Faktycznie zaś jest to sport równie ekskluzywny jak tenis.

Specyfika żeglarstwa polega na tym, że nie posiada ono kibiców. Jest to sport bez kibiców. Poza tym trudno tu rozróżnić sport wyczynowy od rekreacyjnego. Różnice między wyczynem a rekreacją zupełnie się tu zacierają. Każdy żeglarz jest turystą choć nie każdy turysta jest żeglarzem.

Elitarność żeglarstwa jest mitem również w sferze materialnej. Nikomu nie przyjdzie do głowy, aby właściciela syrenki traktować jak Krezusa, natomiast właściciela jachtu, który od syrenki jest trzykrotnie tańszy, uważa się za człowieka świetnie sytuowanego. Tymczasem żeglarze sportowi to z reguły zapaleńcy, pływający najczęściej na sprzęcie klubowym lub na łodziach własnoręcznie wykonanych. Kto chce pływać na łodzi klubowej ma obowiązek naprawy i konserwacji wspólnego dobra. Rzecz raczej nie spotykana w innych gałęziach sportu. Rocznie każdy z żeglarzy ma obowiązek przepracować na rzecz Klubu 20—40 godzin. Sport żeglarski nie posiada działaczy etatowych. Wszyscy pracują tu społecznie, przeznaczając na tę działalność — jak obliczono — około 300 godzin w ciągu roku. Rzecz to również nie spotykana wśród działaczy innych dyscyplin sportowych.

Kluby sportów wodnych mają charakter otwarty, witają chętnie w swych szeregach młodzież garnącą się do żeglarstwa. Łódzki Klub jako jeden z największych w Polsce jest równocześnie wyjątkowo demokratycznym zrzeszeniem. Jego członkami są naukowcy i robotnicy, lekarze i studenci, inżynierowie i młodzież szkolna. Prezesem jest prokurator, Stanisław Król, surowy co prawda dla przestępców, lecz dla wodniaków człowiek najłagodniejszy pod słońcem, oczywiście pod słońcem mazurskich jezior. Zamiłowany to żeglarz i aktywny działacz, i propagator żeglarstwa. Do znakomitych łódzkich żeglarzy należą: Janina i Andrzej Kaszyńscy — popularne małżeństwo kapitańskie, ponadto kapitan Stanisław Kamiński oraz znane w naszym mieście siostry Nagurskie, Hanna i Ewa. Obie w stopniach kapitanów.

Największą dumą łódzkich żeglarzy jest oczywiście pełnomorski jacht „Boruta". W ciągu dziesięciu lat odbył pod łódzką banderą 57 rejsów pełnomorskich, w tym 16 zagranicznych, odwiedził 86 portów, m. in. w ZSRR, Francji, Szkocji, Skandynawii; ogółem przepłynął 40.000 mil morskich. Jego pokład szorowało w ciągu tych dziesięciu lat 402 żeglarzy, ucząc się wspaniałej marynarskiej przyjaźni, braterstwa, koleżeństwa, hartu ducha, odwagi i śmiałości. Żeglarstwo jest bowiem nie tylko piękną przygodą sportową, lecz także świetną szkołą charakterów.

Z okazji jubileuszu pomyślnych wiatrów łódzkim żeglarzom życzy załoga wiotkiej szalupy m/s „Odgłosy".

KARL ZUCKMAYER

CYRK BRACI KNIE

Bestsellerem niemieckiego obszaru językowego stały się wspomnienia Carla Zuckmayera, autora głośnej na całym świecie sztuki „Kapitan z Kopenick". Wyda je „Czytelnik" w przekładzie Jacka Fruehlinga. Poniżej zamieszczamy fragment, dotyczący sztuki „Catharine Knie".

Kiedy w roku 1928 napisałem sztukę „Catharine Knie", którą oparłem na wspomnieniach młodości, doszło do konfliktu w związku z nazwiskiem. Awantura wybuchła jeszcze przed premierą. Sztuce dałem podtytuł: „Komedia o linoskoczkach". Podobnie jak „Dyl Sowizdrzał", który również znał się na chodzeniu po linie, nazwisko „Knie" było dla mnie ponadczasowe i nie odnosiło się do nikogo określonego. Kiedy do wsi nadreńskiej przybywała grupa linoskoczków, rozbijała na rynku namioty i między ratuszem a wieżą kościelną zawieszała wysoko linę, dzieci biegły za małą karawaną, wołając: Knie przyjechał. Było im całkowicie obojętne, jakie nazwisko widnieje na szyldzie wozu pryncypała. Słowem „Knie" określaliśmy po prostu linoskoczków i akrobatów. Jako chłopiec sam widziałem jeszcze starego Knie; ze swą białą brodą wyglądał jak król Lear tańczący na linie. Do jego brawurowych popisów należało gotowanie na prymusie podczas balansowania na środku liny. Był również nieprześcignionym brzuchomówcą.

Owego papę Knie, który wędrował przez Szwajcarię i Niemcy, od Bazylei do Koblencji, spłodził szesnaścioro dzieci, które występowały na jego arenie, noszonego na rękach jak żaden dzisiejszy producent telewizyjny, oglądał kiedyś Albert Bassermann, największy aktor starszego pokolenia. Z entuzjazmem objął on rolę starego cyrkowca — linoskoczka, napisaną w dodatku przeze mnie gwarą nadreńską, która była jego ojczystym narzeczem. Również młodociana reprezentantka pochodziła z moich stron ojczystych.

Po rozpoczęciu prób i wyznaczeniu premiery na dzień 22 grudnia, otrzymałem od pewnego adwokata z Zurychu list. Adwokat ów, podający się za reprezentanta „Szwajcarskiego cyrku narodowego" oraz „dynastii Knie", protestował krótko i opryskliwie przeciwko temu, że w sztuce swojej posłużyłem się nazwiskiem Knie. Jest to tym bardziej niedopuszczalne, pisał, że autor nie uchodzi za jednostkę, pod względem moralnym bez zarzutu. Piszący groził wszczęciem kroków sądowych i zakazem grania sztuki.

Miałem wrażenie, że ktoś zdzielił mnie maczugą po łbie. Nie wiedziałem, że założyciel „dynastii", Fryderyk Knie, syn lekarza przybocznego Marii Teresy, po zademonstrowaniu przed Napoleonem salta mortale nad dziesięcioma końmi, osiadł w Szwajcarii, że potomkowie jego założyli tam „Cyrk narodowy" i stali się bogaczami. Zastąpienie nazwiska Knie jakimś innym nie bardzo mi odpowiadało a wszczęcie procesu byłoby dla sztuki śmiertelną katastrofą. Na moje szczęście do oficjalnego pisma adwokata dołączona była karteczka ówczesnego referenta prasowego, przedsiębiorstwa „Cyrk Knie". Pisał, że szefowie jego nie są tacy straszni, radził, żebym pomijając adwokata zwrócił się do nich bezpośrednio, prosił tylko o dyskrecję przed chlebodawcami. Napisałem więc bardzo uprzejmy list do panów szefów, proponując, by jeden z nich przyjechał do Berlina i przekonał się na własne oczy i uszy, że sztuka moja nie tylko nie rzuca cienia na dobre imię cyrku, lecz przeciwnie, przedsiębiorstwu ich przysparza sławy. Bardzo zdenerwowany czekałem na odpowiedź.

I oto pewnego dnia zadzwonił telefon: wszyscy czterej bracia przyjechali do Berlina, mieszkają w hotelu „Central" obok dworca Friedrichstrasse, następnego dnia o dziesiątej rano oczekują mego zjawienia się. Punktualnie o dziesiątej znalazłem się pod hotelem, portier, były clown z cyrku Buscha, skierował mnie do hallu. To, co tam ujrzałem w głębokich fotelach, wyglądało więcej niż groźnie. Miałem wrażenie, że siedzą przede mną czterej Goliaci, czterej olbrzymi w wytwornych ubraniach, ledwie się mieszczący w klubowych fotelach. Choć ważyłem wówczas prawie dziewięćdziesiąt kilo, czułem się jak wiotki paź w obliczu książąt z epoki rococo. Miałem przed sobą potężnego Fryderyka, którego specjalnością były tygrysy i niedźwiedzie polarne, nie mniej potężnego Karola, specjalistę od słoni, Rudolfa, mistrza w tresurze koni i Eugeniusza, zajmującego się administracją cyrku. W młodości, przybrani w pstre trykoty, występowali pod gołym niebem jako akrobaci, gimnastycy na trapezie, skoczkowie z trampoliny oraz żywe piramidy ludzkie. Teraz mieli na palcach pełno pierścionków, na brzuchach ciężkie, złote łańcuszki, przyozdobione cennymi brelokami. Obrzucili mnie badawczymi, karcącymi spojrzeniami, jak bym był kandydatem do występów na ich arenie, na powitanie żaden z nich nie ruszył tylkiem. Po wymianie kilku słów oświadczyli gotowość przybycia następnego dnia na próbę, podkreślając, że czynią to ze względu na wielkiego Bassermanna. Przez cały czas zachowywali się wobec mnie nieufnie.

Próba miała charakter roboczy, nie było jeszcze ani dekoracji ani kostiumów, ale aktorzy umieli już tekst. Potężna czwórka rozsiadła się w jednym z rzędów parteru. Podczas aktu pierwszego, ukazującego biedę i ciężkie życie grupki cyrkowców oraz córkę pryncypała, młodą Katarzynę, która dla swego głodującego osiołka kradnie u zamożnego chłopa trzy worki owsa, czwórka gigantów zachowywała grobowe milczenie. Natomiast w akcie drugim, w którym ojciec Knie żegna się z córką porzucającą cyrk, aby na wsi żyć w lepszych warunkach, oraz w akcie trzecim, w którym po jej powrocie, rodzic po raz ostatni przed śmiercią wstępuje na linę, z rzędu zajętego przez Goliatów rozległy się dziwaczne tony. Brzmiało to jak parskanie słoni lub jakichś potworów morskich, jak przedśmiertne rzężenie ichtiozaurów. Przerażony reżyser szepnął mi do ucha: zdaje się, że oni płaczą.

Nie tylko płakali — na cały głos wyli jak bobry! Otoczyli się ramionami, powtarzali w kółko: Wykapany dziadek.

Po próbie, uścisnąwszy mi prawicę, która przez trzy dni nie mogłem poruszać, poprosili pokornie, abym ich przedstawił wielkiemu aktorowi Bassermannowi. Nie chcieli uwierzyć, że nie znał osobiście ich ojca, którego portret przed chwilą zaprezentował. Ostatnie zastrzeżenie, dotyczące tego, że rodzina Knie od dawna nie ma nic wspólnego z biedą czy nędzą ukazaną na scenie, upadły podczas śniadania, w wytwornym hotelu. „Prinz Friedrich Karl". Zapewniliśmy gigantów, że w programie napiszemy, iż cyrk ich to przedsiębiorstwo solidne i bardzo zamożne.

Sztuka była uratowana, zawarłem z gigantami przyjaźń. Następnego Sylwestra obchodziłem w Wiedniu z całą rodziną cyrkową, która bawiła na występach w Praterze. Po północy Karol zaprowadził mnie do stajni, pachnącej sianem i nawozem. Nerwowej nieco słonicy, ochrzczonej imieniem Róża, miałem wyciągnąć z ogona włos i natychmiast odskoczyć, żeby mnie nie zdzieliła potężną trąbą. Giganci twierdzili, że włos taki, wyrwany w noc sylwestrową, przynosi szczęście. Posiadam go po dzień dzisiejszy. W sześć lat później z okazji jubileuszu cyrku „Katarzyna" z Bassermannem w roli głównej została wystawiona w Zurychu na placu „Belle Vue" pod ogromnym namiotem cyrkowym. W antraktach produkowało się najmłodsze pokolenie dynastii, dzisiejszy dyrektor Freddy, liczący wówczas lat dziewięć jako ujeżdżacz koni oraz jego kuzynka Eliana, jeszcze młodsza od niego, jako urocza, rozkoszna tancereczka na linie. Kiedy po finale zerwał się huragan braw, zawezwano mnie do ujeżdżalni. Zjawił się Karol Knie w kostiumie maharadży indyjskiego wraz ze swoją znaną mi już słonicą „Różą". Na jego komendę przykląkła i zaczęła wymachiwać groźną trąbą.

— Niech się pan nie boi — szepnął Karol — nie zrobi panu nic złego.

Powiedziawszy to złożył ręce w kształt strzemienia, w które wetknąłem stopę i posadził mnie na trąbie wołając: — Tylko spokojnie, trzymać się mocno, otworzyć szeroko ramiona! — Po tych słowach „Róża" podniosła się z kolan. Nie ma chyba na świecie autora dramatycznego, który by się prezentował publiczności z trąby słonia.

Dziwaczny był los mojej sztuki. Choć próba generalna wypadła doskonale, prasa po premierze odsądziła sztukę od czci i wiary, z wyjątkiem nazwiska Kerra, który na przekór pozostałym był mniej nielitościwy i zwrócił uwagę na świetną rolę Bassermanna. Rzuciła się na mnie również prasa pozaberlińska. „Frankfurter Zeitung" prorokowała mi blisko koniec. Stało się jednak coś zupełnie niezwykłego: mimo druzgocącego werdyktu krytyki sztuka zdobyła olbrzymi sukces kasowy na bardzo wielu scenach. W samym Berlinie grano ją przeszło sto razy. Później Bassermann występował w niej gościnnie w Wiedniu. Następnego lata otrzymałem za nią nagrodę imienia Buechnera oraz nagrodę miasta Heidelberg.

(Przekład: JACKA FRUEHLINGA)

TELEOBIEKTYW

Zmartwychwstanie miasta

Telewizja Wrocław, chcąc uczcić ćwierćwiecze miasta w Polsce Ludowej, zrealizowała w ramach Studia Współczesnego inscenizowany montaż dokumentarny Wiesława Wodeckiego pt. „Rzecz o zagładzie miasta" (13 maja br). Program ten zasługuje na uwagę zarówno ze względu na swą treść, jak i na zastosowaną formę widowiska telewizyjnego.

Realizatorzy sięgnęli do historii obrony Festung Breslau w okresie luty—maj 1945 rok. Oparli się przy tym wyłącznie na materiałach autentycznych: odezwach, rozporządzeniach, artykułach prasowych, pamiętnikach. Z tego tworzywa udało się zmontować ponurą historię ostatnich trzech miesięcy hitlerowskiego panowania we Wrocławiu.

Tak jak w ginącym Berlinie dopełniał miary swych zbrodni Hitler, znaleźli się i we Wrocławiu ludzie-demony, którzy w ślepym fanatyzmie i okrucieństwie, a jednocześnie z nadziejami na wdzięczność Fuehrera, postanowili zamienić to miasto w bastion obrony, w wielki grobowiec dla jego załogi i mieszkańców cywilnych. Ich nazwiska to: Karl Hanke, gauleiter Dolnego Śląska i nadburmistrz Wrocławia, generał-major Hans von Alten — dowódca „twierdzy" Wrocław w okresie początkowym obrony i generał piechoty Hermann Niehoff — jego następca na tym stanowisku.

Dopuścili się oni zbrodni nie tylko na więźniach i jeńcach różnych narodowości. Z równym okrucieństwem i bezmyślną wściekłością traktowali niemiecką ludność miasta. Aktem oskarżenia tych ludzi, którzy skazali na śmierć 700-tysięczne miasto, jest odnaleziony w gruzach Wrocławia pamiętnik niemieckiego księdza Paula Peikerta, proboszcza parafii św. Maurycego.

Nie jestem w stanie streszczać tu całej gehenny ginącego Wrocławia i bezmiaru zbrodni jego hitlerowskich władców. Jest rzeczą znamienną, że właśnie w polskim Wrocławiu, nie w NRF, wytoczono symboliczny proces przeciw zbrodniom dokonanym przez Niemców na Niemcach. Gdy z Niemiec zachodnich dobiega nas wciąż jeszcze rewizjonistyczna wrzawa, my wystawiamy rachunek hitlerowskim kacykom za zbrodnie wobec ich własnego narodu.

Ten wstrząsający dokument, z pewnością niedostatecznie znany całemu cywilizowanemu światu, przedstawiony został w programie Telewizji Wrocław w sposób nowoczesny, poszukujący własnych form telewizyjnego wyrazu. Grupa aktorów zgromadzona w studio przejmuje funkcje autentycznych postaci na naszych oczach. Nie robi tego na zasadzie iluzyjnej. Aktorzy nie chcą wmówić widzowi, że są postaciami, które przedstawiają.

Witold Pyrkosz, wkładając na siebie kurtkę mundurową gauleitera Hanke, mówi do publiczności: „Nie jestem wprawdzie podobny do Hankego, ale wszystko, co powiem od tej chwili, to będą jego słowa". Podobnie ma się rzecz z innymi wykonawcami (Ferdynand Matysik, Igor Przegrodzki i in.). Przekazują oni słowa wypowiedziane, czy napisane przez osoby, które przedstawiają. Nic ponadto. Nie zamierzają utożsamiać się z nimi.

Czołowy aktor Wrocławia, Artur Młodnicki (on sam jest niemal symbolem XXV-lecia wyzwolonego miasta, żyje w nim i występuje w teatrze od pierwszych trudnych dni) gra rolę narratora. Prowadzi ze zbrodniarzami hitlerowskimi rozmowę z pozycji człowieka współczesnego, który ocenia postępki według znanych już skutków. Jest w nim siła, jaką daje poczucie słuszności naszych narodowych i ogólnoludzkich racji.

Zmartwychwstały i pięknie rozwijający się polski Wrocław pięknie skwitował na antenie telewizyjnej swą ważną rocznicę.

Władysław Orłowski

O filmach DOBRZE i ŹLE

W polskiej twórczości filmowej okresu 25-lecia problematyka Ziem Zachodnich, ich wyzwalanie i zasiedlanie, powracała niejednokrotnie. Przypomnijmy tu choćby „Gdzieś ty, człowieku" Rybkowskiego, „Kwiecień" Lesiewicza, „Prawo i pięść" Hoffmana i Skórzewskiego, „Drogę na Zachód" Poręby i „Samych swoich" Chęcińskiego. Wśród tych filmów były dramaty, wojenne i społeczne, była komedia, a nawet film bliski w swej konwencji westernowi.

W 15 rocznicę odzyskania Ziem Zachodnich wszedł na ekrany „ALBUM POLSKI" w reżyserii Jana Rybkowskiego, film, o ambicjach epopei, w którym twórcy pragnęli ogarnąć niemal całość zdarzeń i zjawisk, związanych nie tylko z czasem walki, ale także lat przeobrażeń i dokonań na terenie tych ziem w okresie ćwierćwiecza Polski Ludowej. By ogarnąć całokształt tych problemów, nie wystarczała koncentracja uwagi na pokoleniu tych, którzy Ziemie Zachodnie uczynili znów polskimi — forsowali Odrę, zdobywali Wał Pomorski, walczyli z bandami, odbudowywali zniszczone miasta i wsie oraz osiedlali tych, którzy przyszli ze Wschodu. Na ziemiach tych urodziło się nowe pokolenie Polaków i dziś ono kształtuje przyszłość tych ziem.

Dlatego też „Album polski" — próba epopei, musiał stać się zbiorowym portretem dwóch generacji Polaków, ojców i dzieci, musiał połączyć obrazy walki i pracy, tragizmu i radości życia. Musiał też z ludzkiej zbiorowości wyłowić losy jednostkowe i obdarzyć je nie tylko refleksją historyczną, lecz dotrzeć także do bardzo indywidualnych konsekwencji dziejowych wydarzeń.

Przy realizacji tak ogromnego epickiego zamierzenia autorzy filmu musieli stanąć wobec problemu znalezienia najwłaściwszego pomysłu dramaturgicznego, pozwalającego scalić w jedność ogrom problemów, które niosły najróżniejsze wątki i epizody tego filmu, a wreszcie ujarzmić czas, w którym przeszłość i teraźniejszość najściślej ze sobą zespolone mają określić wymiar epickiej opowieści.

Nie będę chyba odosobniona w sądzie, iż zastosowana przez twórców „Albumu polskiego" metoda konstrukcji fabuły nie należy do najbardziej odkrywczych, efektem zaś monotonnych zmian płaszczyzn czasowych są wrażenia co najmniej kilku zakończeń tej opowieści. Wrażenia tego nie potrafi osłabić nawet to, iż odkrywanie przez parę młodych, — Annę i Tomka, przeszłości swych rodziców jest procesem dochodzenia prawdy, skonstruowanym niemal na zasadzie kryminału. A przecież dopiero dojście do prawdy może być prawdziwym zakończeniem.

Oparłszy całą dramaturgię filmu na owych usiłowaniach dojścia prawdy, realizatorzy dokonują konfrontacji losów pokolenia rodziców i dzieci według jednej zasady: niemożności spełnienia miłości pierwszych przeciwstawiają radosne perspektywy uczucia drugich. Nasze główne zastrzeżenia budzić tu musi dość naiwne i chyba melodramatyczne potraktowanie losów nieszczęśliwej miłości Marii i Piotra, przedstawicieli wojennego pokolenia.

„Album polski" to film wywołujący bardzo sprzeczne wrażenia, których istotę określa po trosze sam jego tytuł. W każdym albumie odnajdujemy zdjęcia bardzo piękne i bardzo brzydkie, ocena nie zawsze zależy od ich artystycznej wartości. Ich sens i piękno tkwi w ich treści, a interpretacja i pełne zrozumienie zależy również od patrzącego, który w albumie rodzinnym potrafi odczytać dzieje pokoleń.

Są w filmie Rybkowskiego obrazy niezwykle piękne i wzruszające, mądre i uczące. Jednakże ich wyborowi, uporządkowaniu i ożywieniu zabrakło w pełni przekonywającej koncepcji artystycznej, a jest ona nieodzownym warunkiem pełnego istnienia dzieła.

Czuje się w tym filmie zbyt wielką zachłanność w osiągnięciu całości spraw tak wielkich i złożonych, czuje się pewien pośpiech, niedopracowanie sposobu ich przedstawienia i wreszcie nie najlepszy wybór aktorów dla ról czołowych. Barbara Brylska nie udźwignęła ciężaru roli Marii-Anny, Jan Machulski w roli Piotra — ojca robił wrażenie postaci wziętej z maskarady. Przy filmie o tak wielkich ambicjach nie można sobie pozwolić na niedopatrzenie pozornych błahostek, nigdy bowiem nie wiadomo jak mocnym tonem zadźwięczą.

W „Albumie polskim" scenarzysty Ryszarda Frelka i reżysera Jana Rybkowskiego najsilniejszym atutem artystycznym są znakomite zdjęcia Witolda Sobocińskiego. Batalistyka i „pejzaż czasu pokoju" w jego ujęciu zyskują siłę ekspresji niemożliwą do uzyskania w malarstwie, a w filmie również zupełnie niezwykłą. W obrazach Sobocińskiego ukryta jest największa prawda o ziemi i ludziach, którzy na niej walczyli i na niej pracują. To bardzo wiele na pewno, ale od epopei każdej, a więc i filmowej także wymagać musimy czegoś więcej jeszcze. Ceniąc wysoko problemową rangę „Albumu polskiego", jego wielkie walory wychowawcze i ambicje realizatorów, nie możemy nie wyrazić żalu, że nie powstał film, którego randze ideowo-wychowawczej towarzyszyłby równie znamienity kształt artystyczny.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„FALSTAFF" W OPERZE PARYSKIEJ

W roku 1966 słynny włoski baryton Tito Gobbi, ze względu na złe warunki jakie mu ofiarowywano, zerwał kontrakt z Operą Paryską odmawiając występów w „Don Carlosie". Zamiast odszkodowania finansowego Gobbi zgodził się na wyreżyserowanie i śpiewanie w „Falstaffie" Verdiego.

Przypomnijmy, że Giuseppe Verdi (1813 — 1901) był znakomitym włoskim kompozytorem, twórcą realistycznych oper, które charakteryzuje śpiewna melodyka i głęboki wyraz dramatyczny. Jest autorem tak słynnych oper jak: „Traviata", „Aida" czy „Otello". „Falstaff" była ostatnią operą Verdiego.

Tito Gobbi w roli „Falstaffa"

Tito Gobbi od dawna jest zafascynowany postacią Falstaffa, tego bohatera szekspirowskich sztuk, postacią w typie tak dobrze nam znanego imć pana Zagłoby, którego Falstaff jest niewątpliwie literackim przodkiem. Falstaff — brzuchaty wesołek, plotkarz i blagier, żarłok o niespożytej żywotności, pół mędrzec pół błazen, jest niełatwy do zagrania na scenie i to w utworze operowym. Śpiewak w roli Falstaffa musi nie tylko śpiewać, ale krzyczeć, miotać się po scenie, zrzędzić, posługiwać się mimiką — słowem grać i to z wielkim kunsztem i wysiłkiem.

W roku 1893 Verdi sam prowadził w La Scali swoje przedstawienia „Falstaffa". Sam też projektował scenografię, sam kierował śpiewakami. Osiągnął też znaczny sukces. Tito Gobbi grał „Falstaffa" na wielu scenach świata. Po raz pierwszy opanował tę rolę w ciągu dwudziestu dni pod kierunkiem maestro Tullio Serafina. Repetycje odbywały się w samochodzie, którym obydwaj codziennie jeździli z Rzymu do Neapolu.

Spektakle tygodnia

	spekt.	widz.	proc.
WIELKI			
„Lohengrin"	1	1157	92
„Cyrulik sewilski"	2	2520	100
„Faust"	1	1260	100
„Jezioro łabędzie"	1	1260	100
„Tosca"	1	1260	100
NOWY			
„Za siedmioma górami"	1	700	100
„Życie jest snem"	4	2800	100
„Szkoła kobiet"	1	500	70
MAŁA SALA			
„Rodeo"	3	600	100
„Pelikan"	1	200	100
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	2	200	50
JARACZA			
„Każdy kocha Opalę"	2	528	100
„Kolumbowie rocznik 20"	2	1028	100
POWSZECHNY			
„Henryk V"	1	600	90
„Boso, ale w ostrogach"	1	660	100
„Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1300	99
7.15			
„Żołnierz królowej Madagaskaru"	5	2110	100
OPERETKA			
„Pierwiosnki"	6	4793	80

JEAN JACQUES ROUSSEAU KOMPOZYTOREM

„Zadaniem poety jest pisać wiersze, zadaniem muzyka komponować. Ale jest rzeczą filozofa mówić dobrze o jednym i drugim" — powiedział kiedyś Jean-Jacques Rousseau.

Urodził się w 1712 roku w Szwajcarii w kalwińskiej rodzinie emigrantów francuskich. Muzyka towarzyszyła mu przez całe życie. W dzieciństwie zasypiał przy śpiewie ludowych piosenek, w młodości bardzo żywo interesował się muzyką. Wśród wielu zajęć jakie wykonywał w swym życiu, najbardziej pewnym źródłem jego dochodów było przepisywanie nut. Był pisarzem i filozofem, ale mało kto o tym wie, że był również kompozytorem.

Uwagę zwrócił na siebie rozprawą nadesłaną na konkurs ogłoszony przez Akademię w Dijon pt. „Discours sur les sciences et les arts" (Rozprawa o naukach i sztukach), w której głosił hasła powrotu do natury. Uważał też że muzyka powinna być zbliżeniem do natury i z niej należy czerpać natchnienie.

W roku 1752 Jean Jacques Rousseau pisze „Le Devin du village" (Wiejski wróżbita) coś w rodzaju francuskiej pastorałki i choć autorowi można z punktu widzenia muzycznego to czy owo zarzucić, jedno jest niewątpliwe — jego utwór muzyczny posiada niezaprzeczalny wdzięk. Pisywał też Rousseau chętnie na tematy muzyczne. Na prośbę Diderota napisał dla słynnej „Encyklopedii" artykuły o muzyce. Zostały one potem w roku 1767 wydane oddzielnie pt. „Słownik muzyczny". Oto jego nieco ogólnikowa definicja czym jest muzyka: jest to „sztuka układania dźwięków w sposób przyjemny dla ucha". Rousseau krytykował i nie zgadzał się z teoretycznymi wywodami o muzyce jakie pomieścił w swej książce pt. „Traite harmonique" Jean Philippe Rameau, który sformułował teoretycznie system dur-moll w harmonii.

Ostatnio telewizja francuska postanowiła przypomnieć postać wielkiego filozofa, autora „Umowy społecznej" również jako kompozytora. W audycji znalazły się nie tylko teksty pisarza ale i jego muzyka.

Aleksander Astruc realizator tego spektaklu sfilmował ponadto „Wiejskiego wróżbitę" na polach Szwajcarii. W filmie grają aktorzy amatorskiego teatrzyku z miejscowości La Chaux-de-Fonds.

ZMARŁ JOHN KNITTEL

W Szwajcarii zmarł John Knittel, w swoim czasie bardzo głośny pisarz pochodzenia szwajcarskiego, który pisywał swe utwory w językach angielskim i niemieckim.

Urodził się w roku 1891 w Dharwar w Indii jako syn protestanckiego misjonarza. Gdy miał lat 5 rodzice wracają z nim do ojczystej Szwajcarii.

John Knittel kilkakrotnie przebywał w Anglii i północnej Afryce. W powieściach swych takich jak „Abd-el-Kader" (1931) czy „El Hakim" (1936) przejawiał gorące uznanie i sympatię dla Arabów walczących z imperializmem Europejczyków. Był też rzecznikiem przyjaznego współżycia Arabów z białymi. On to pierwszy opracował plan zniesienia analfabetyzmu w krajach arabskich. Najbardziej znaną powieścią Knittela jest „Via mala", której akcja rozgrywa się w Szwajcarii.

Znanymi powieściami są też: „Terra Magna", „Jean Michel" „Arietta". Jest autorem dramatu pt. „La Rochelle".

CERAMIKA ARTYSTYCZNA ANTONINY ŁADUR

Antonina Kazimierowna Ładur uprawia rozmaite rodzaje sztuki plastycznej. Razem z mężem M. F. Ładurem projektowała dekoracje i pawilony na różne wystawy, malowała plakaty, pracowała w dziedzinie scenografii, zajmuje się też malarstwem sztalugowym i ceramiką artystyczną. W tej to właśnie dziedzinie — ceramice, jej prace są najciekawsze i najbardziej oryginalne. Antonina K. Ładur ma duże poczucie harmonijnego zestawienia barw i kształtów.

A. Ładur: Starzy. Ceramika. Talerz.

Ulubioną tematyką jej prac są postacie ludzi i zwierząt. Twórczość swą uprawiała w różnych częściach ZSRR, w Republice Rosyjskiej i na Krymie, ale najwięcej i najchętniej tworzy w Karakalpackiej ASRR (rep. auton. w Uzb. SRR, w dolinie Amu-darii). Antonina Ładur zna ten kraj i lubi go. Na jubileusz czterdziestolecia Karakalpackiej ASRR artystka podarowała Republice szereg swych prac, a w roku 1964 w Nukusie (stolica Karakalpackiej ASRR) odbyła się wystawa prac Antoniny Ładur. Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem u zwiedzających. Część z tych prac została następnie, wraz z innymi dziełami artystki, pokazana na wystawie w Domu Pisarzy w Moskwie.

A. Ładur: Przed burzą. Ceramika.

Antonina Ładur korzystając z tradycyjnych form karakalpackiej ceramiki tworzy barwne wazony ozdobione rytmicznymi kompozycjami. Przedstawiane sceny harmonizują z kształtem naczynia podkreślając jeszcze prostotę i ekspresję formy.

A. Ładur: Kes-ket-ken (Trzy drzewa). Kolorowy linoryt

Właściwe dla Ładur zestawienia barw to jaskrawe zharmonizowane kolory lub przeciwnie, bardzo stonowane dwie barwy — najczęściej głęboka czerń i ciemna czerwień. Ceramika Ładur odznacza się dużym umiarem w stosowaniu kolorów i pomimo wrażenia dużej barwności, wytwory jej nigdy nie rażą pstrokacizną.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Gorzkie żale nad książką

GDZIE ŁÓDŹ NA TEJ MAPIE? — 50 ZŁOTYCH ROCZNIE — KARTKA Z BIULETYNU — CO Z WOJEWÓDZTWEM? — PIĘTNAŚCIE TYSIĘCY I 2,5 MILIONA — RACHUNEK SUMIENIA — ABY ŁĄCZYĆ LUDZI...

Pewna pani mawiała często o swoim mężu, że jest on bardzo wpływowy. Ale mąż owej pani wcale nie był — na przykład — ministrem. Chodziło po prostu o to, że bardzo ulegał wpływom kolegów. My wszyscy jesteśmy tacy „wpływowi". Łatwo wpadamy z byle okazji w pesymizm albo optymizm. Zależnie od okoliczności. W czasie Dni Oświaty, Książki i Prasy byliśmy wszyscy bardzo optymistyczni jeśli chodzi o kupowanie książek. Cieszyło nas niepomiernie, że na kiermaszu łodzianie wydali na literaturę 350 tys. złotych, choć to suma właściwie niewielka. Zresztą gotów jestem się nawet zgodzić, że to suma pokaźna — ale w końcu wydana na książki niejako okazjonalnie — raz do roku.

Jeśli natomiast spojrzeć na te sprawy nie przez pryzmat jednej zmasowanej akcji, ale codziennej, całorocznej dystrybucji? Wtedy i optymizm mniejszy. Leżą przede mną materiały stanowiące właśnie całoroczne „rozliczenie" sprzedaży książek w Polsce. Trudno mi oceniać skalę i wymiar owych 1838 mln złotych wydanych na książki, zwłaszcza, że mieszczą się w tej sumie i zakupy bibliotek instytucji, mieszczą się podręczniki i płyty — ale postarajmy się umiejscowić jakoś Łódź i województwo na owej mapie zakupów.

Znajdujemy się na szóstym miejscu w kraju jeśli chodzi o obroty „Domu Książki". Nasz udział w tym obrocie wyraża się wskaźnikiem 6,6 proc. i sumą 121 mln złotych. Bijemy nas tu stolica (275 mln zł), biją Katowice, Wrocław, Kraków i Poznań. Oczywiście to nie powód do załamywania rąk — za nami jeszcze dwanaście województw. Można by było zadowolić się owym szóstym miejscem, gdyby nie fakt, że wleczemy się w ogonie pod innym względem.

Otóż, gdy przyjąć za podstawę porównawczą sprzedaż książek w przeliczeniu na jednego mieszkańca, to znów okaże się, że przoduje stolica. Statystyczny warszawiak wydaje rocznie na książki 215 zł, a więc trzykrotnie więcej niż mieszkańcy gdańskiego, wrocławskiego, katowickiego i szczecińskiego — bo te województwa znajdują się na drugim miejscu. Ich mieszkańcy wydają rocznie na książki od 60 do 70 złotych. Nieco gorzej jest w Krakowskiem i Opolskiem (50—60 zł rocznie).

My natomiast znajdujemy się w doborowym towarzystwie takich województw jak koszalińskie, zielonogórskie, bydgoskie, olsztyńskie — i wydajemy na książki około 50 zł. Za twardzialych optymistów i te cyfry nie speszą — są wszak jeszcze gorsi od nas. W rzeszowskim, lubelskim, białostockim, kieleckim statystyczny mieszkaniec wydaje na książki 30 złotych.

To zestawienie zmartwiło mnie. Taka pozycja Łodzi i województwa na mapie Polski nie nastraja optymistycznie i jakoś sukcesy finansowe majowego kiermaszu nie potrafią mi przesłonić tej smutnej prawdy.

Dajmy jednak spokój „rozliczeniom i wyliczeniom" centrali „Domu Książki". Bo oto leży przede mną kartka z okolicznościowego biuletynu. Dowiaduję się z niej, że na statystycznego mieszkańca Polski przypada rocznie 66 egzemplarzy gazet i 18 egzemplarzy czasopism. Piszą jeszcze w owym pięknym biuletynie, że rekordy w tym względzie bije Warszawa, Łódź i Kraków. Niestety tylko w odniesieniu do stolicy posłużono się konkretami — 149 egzemplarzy gazet i 30 czasopism przypada na mieszkańca Warszawy. W wypadku Łodzi biuletyn nie pociesza nas żadną liczbą — musimy mu wierzyć na słowo.

Natomiast województwo załatwione jest konkretniej. „Najmniej gazet czytają mieszkańcy województw warszawskiego i łódzkiego, przypada tam po 40 egzemplarzy rocznie na jednego mieszkańca". Smutne to zdanie i nic nie pomogą kpinki na temat zawodności statystyki. Prawda jest bezwzględna — czterdzieści gazet w ciągu roku — to nie są czytelnicze szczyty. A jeszcze pamiętam rozmowę z dyrektorem „Ruchu" i pamiętam te liczby, które w niej padały. Pięć tysięcy egzemplarzy „Kultury", 4200 egz. „Życia Literackiego", 6 tys. egzemplarzy „Polityki" — razem 15.200 osób tygodniowo kupuje czasopisma społeczno-kulturalne. Piętnaście tysięcy na blisko 2,5 miliona mieszkańców Łodzi i województwa.

Powie ktoś, że nie wypada przeprowadzać takiego „rachunku sumienia" i snuć takie „gorzkie żale" właśnie teraz, gdy nie opadła jeszcze radosna atmosfera Dni Oświaty, Książki i Prasy. Przepraszam — a kiedy? Myślę, że właśnie teraz, kiedy problematyka „książki i prasy" jest na pierwszym planie, nie zawadzi w potoku optymizmu ta felietonowa kropelka goryczy. Rozumiem doskonale i wiem doskonale, że rośnie liczba wydawanych tytułów, że rosną nakłady, że w Polsce anno 1970 ukazuje się ponad 7700 gazet i czasopism... Że rocznie drukuje się prawie 100 milionów egzemplarzy książek... To wszystko wiem i właśnie dlatego piszę gorzki felieton. Bo widzę z jednej strony ogromny wysiłek państwa, ogromne pieniądze przeznaczone na upowszechnienie prasy i książki, na nowe drukarnie, nowe księgarnie i kluby „Ruchu" — a z drugiej strony widzę jak tego dobrodziejstwa słowa drukowanego nie potrafimy, nie chcemy wykorzystać.

Martwię się tym i irytuję nie tylko jako człowiek pióra, ale jako obywatel tego kraju, który chciałby aby Polska była krajem ludzi czytających z roku na rok coraz więcej. Bo przecież — jak pisał Zweig — „książki pisze się po to, aby ludzi łączyć i aby ocalić przed nieubłaganym wyrokiem życia, jakim jest przemijanie".

JERZY WIDOK

EVAN HUNTER

POWRÓT

— Jak się pan nazywa? — zapytała pielęgniarka.

— Matt Cordell.

— Czy pan już kiedyś dawał krew?

— Tak. Moje nazwisko jest w waszej kartotece.

— Dobrze, niech pan stanie w kolejce.

Jakiś typ przede mną wydał mi się znajomy. Odwrócił się, spojrzał na mnie i zapytał: — Cordell? Matt Cordell?

— Tak, jestem Cordell — odpowiedziałem.

— Sailor Simmons — przedstawił mi się.

Przyglądałem mu się z zainteresowaniem. Był niegdyś słynnym bokserem, znaliśmy go dobrze, Trina i ja. Moja żona lubiła boks, często chodziliśmy na mecze. Po poznaniu się z Sailorem, staliśmy się jego kibicami.

— Zmieniłeś się bardzo, Sailor.

— Trudno, wszyscy się zmieniamy. Także i ty nie jesteś ten sam. Tylko twoja żona nie zmieniła się.

— Rozwiedliśmy się — wyjaśniłem.

— Wiem o tym, czytałem w gazetach. Ten pies Garth zasłużył na to, że go stłukłeś. Trzeba go było zabić.

Otwierałem i zamykałem dłoń, a krew spływała do naczynia.

— Trina jest piękna jak zawsze, piękna jak obraz.

— Skąd wiesz? — zdziwiłem się.

— Widziałem ją trzy dni temu.

Jego słowa przeszyły mnie jak sztylet.

— Gdzie ją widziałeś?

— Tutaj, w Nowym Jorku.

Przyszła pielęgniarka i pozwoliła nam odejść do kasy po nasze pięć dolarów. Wyszliśmy na ulicę.

— Niepotrzebnie ci o tym powiedziałem — rzekł Sailor. — Wiesz co, mam tu znajomego, który mógłby nam dostarczyć trochę marihuany. Wypalimy kilka papierosów.

— To mnie nie interesuje, dziękuję ci. Pożegnaliśmy się.

Trina powróciła...

Ile to już czasu upłynęło? — pomyślałem. — Do diabła, wszystko jednol... Powróciła, nareszcie powróciła — upierał się mój mózg.

Kupiłem dwa kotlety, butelkę whisky i skierowałem się do mojej rudery. Zdarzały się tygodnie, kiedy mogłem sobie pozwolić na wynajęcie pokoju.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju. Siedziała na łóżku i przyglądała mi się poważnie.

— Halo, Matt! — rzekła Trina głębokim, zlekka zachrypniętym głosem. Była wysmukła i bardzo elegancka. Jej obecność przypomniała mi jak bardzo się zmieniłem. Przymierałem z głodu — i to właśnie ona pchnęła mnie na drogę nędzy i narkotyków.

— Czego chcesz, Trina? — zapytałem. — Myślałem o tym często, jak ją kiedyś zobaczę, co jej powiem... I oto ona.

— Chcę ciebie — odpowiedziała.

— Co się stało? Czy wypędzili cię z Meksyku?

— Odeszłam sama. Chciałam wrócić.

— Czy Garth także wrócił?

— Niezupełnie. Matt, popełniłam błąd.

— Naprawdę? Wiele ludzi błądzi, także i ja. — Postawiłem butelkę wisky i wyjąłem dwa kieliszki z komody. Napełniłem je i szybko opróżniłem mój kieliszek.

— A więc już mnie zobaczyłaś — rzekłem. — Możesz teraz wrócić do Gartha i opowiedzieć mu wszystko. Idź sobie, Trina!

— Matt!

— Na miłość boską, po co wróciłaś? Dlaczego tam nie zostałaś? Czy już nie dosyć narobiłaś mi złego?

Wstała i powoli zbliżała się do mnie. Czułem zapach jej włosów. Położyła mi rękę na ramieniu. — Matt — prosiła — czy przyjmiesz mnie do siebie?

— Nie. Idź stąd i zostaw mnie w spokoju! Wróć do Gartha.

— Nie wrócę już nigdy do Gartha. — Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie.

Tej nocy ogoliłem się i wziąłem prysznic. Trina wróciła do swego domu, aby się przebrać. Powiedziała mi, gdzie się później spotkamy. Mówiła mi wiele innych jeszcze rzeczy. Byłem znów szczęśliwy, jak bym odnalazł dom po długim błądzeniu. Pożyczyłem od przyjaciela dziesięć dolarów i kupiłem używany garnitur. Myślałem sobie: Cordell, możesz jeszcze zacząć wszystko od nowa. Możesz znaleźć pracę w jakiejś agencji, jeżeli ci policja zwróci dyplom detektywa. A jeżeli pójdzie dobrze — założysz własną agencję taką, jak wówczas, gdy ty i Trina byliście razem.

Wieczorem poszliśmy do baru. Piliśmy piwo, a potem tańczyliśmy i rozmawialiśmy.

— Było ci ciężko, Matt? — zapytała.

— Co za różnica, teraz już wróciłaś!

— Ale było ciężko?

— Widziałaś mnie, Trina. I widzisz jeszcze moją twarz. Ale to się zmieni, trzeba trochę poczekać.

— Nie wiem, co mnie wówczas napadło, byłam szalona. Uciekliśmy do Meksyku. Morze tam błękitne i niebo... Nie myślałam o tobie. Ale później przejrzałam. Garth — to nie mężczyzna, to zero. Ty jesteś wszystkim tym, czym on nie był

— Długo jednak trwało nim doszłaś do tego przekonania.

— Tak, lecz teraz jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Matt, czy ci oddadzą dyplom?

— Nie wiem, są zadowoleni, że mi go odebrali, moje metody nie podobały się policji. Czy nie mogłabyś rozwieść się z Garthem? To by nam ułatwiło sytuację. Czy jest w Nowym Jorku?

— Tak. Nie chce się zgodzić na rozwód. Ale uwolnię się od niego. Może go przekonam, mężczyzna nie chce kobiety, która go nie kocha. Zaufaj mi!

— Słuchaj, Trina — rzekłem usiłując zmienić temat — wiesz kogo spotkałem? Sailora Simmonsa. Czy go sobie przypominasz?

— Naturalnie. Czy zajmuje się jeszcze boksem?

— Już nie. To człowiek skończony, narkoman.

— Jaka szkoda! Bardzo go lubiłam, taki miły człowiek!

— Myślałem, że o nim zapomniałaś, tyle czasu upłynęło.

Trina wzięła moją rękę. — Matt, będzie znów jak dawniej, zobaczysz!

Przez cały następny tydzień spotykaliśmy się często. Trina mieszkała w hotelu. Wieczorem nalegała, abym wracał do domu. Była jeszcze żoną Gartha, chociaż sprawa rozwodu — jak mówiła — posuwała się naprzód.

Pewnego dnia zatelefonowała do mnie. — Matt, nareszcie znalazłam mieszkanie. Mam także niespodziankę dla ciebie.

— Rozwód? Garth się zgodził?

— Nie mogę teraz mówić. Zapisz sobie nowy adres. Czy możesz tu przyjść dziś wieczorem o 20 godzinie?

— Zgoda. Powiedz mi, jaka to niespodzianka.

— Nie mogę ci powiedzieć. Kochasz mnie, Matt?

— Tak. Może i ja coś przygotuję.

— Dobrze. A więc zobaczymy się dziś wieczorem. Kocham cię, Matt! — położyła słuchawkę.

Przed wieczorem wyszedłem na spacer. Moje myśli były ciągle przy Trinie. Nie zmieniła się, ta sama Trina, moja Trina...

Spojrzałem na kartkę z nowym adresem. Tak, to ten dom. Wbiegłem na drugie piętro. Byłem przekonany, że niespodzianką Triny będzie jej rozwód z Garthem. Zadzwoniłem do drzwi, nikt nie otwierał. Zadzwoniłem jeszcze raz. — Trina? — Nagle zrozumiałem, że to wszystko jest częścią niespodzianki. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do przedpokoju.

— Trina? — Nikt nie odpowiadał. Zajrzałem do salonu i zauważyłem paczkę leżącą na stoliku, na paczce był list. Otworzyłem go i przeczytałem: „Kochany, nim weźmiesz prysznic,

otwórz paczkę, proszę cię. Abyś mógł zacząć od nowa, aby przyszłość uśmiechała się do ciebie. Otwórz, kochanie!"

Otworzyłem paczkę. Był tam pistolet zawinięty w papier. Wziąłem go do ręki i obejrzałem dokładnie. Był nowy, błyszczący. — Skarbie! — krzyknąłem radośnie. Przypomniałem sobie o prysznicu. Trina jest pewnie w łazience. Chciałem ją uścisnąć, powiedzieć jej, że założę nową agencję i niedługo będę miał prawo nosić ten pistolet. — Trina, gdzie jesteś? Pobiegłem z pistoletem do łazienki. Panowała tam cisza. Zasłona przy prysznicu była zasunięta, rozsunąłem ją...

Lecz osoba, którą zobaczyłem nie była Triną. W wannie leżał nagi Garth. Z otworu w czole ciekła krew i zalewała twarz. Przyglądałem mu się nie nie rozumiejąc. Jak by mnie ktoś uderzył łomem w głowę.

Wyszedłem z łazienki. I nagle zdałem sobie sprawę, że trzymam w ręku pistolet. Że są na nim odciski moich palców. Tkże na klamkach, na zasłonie, wszędzie. Wpadłem w pułapkę którą mi przygotowała Trina. Teraz wszystko zrozumiałem... Jaki jest najlepszy sposób, aby otrzymać rozwód, na który mąż nie chce się zgodzić? Zabić go. A kto jest do tego najodpowiedniejszą osobą? Matt Cordell, zazdrosny o żonę, człowiek wykolejony.

Co robić teraz? Rozejrzałem się po mieszkaniu. Moją uwagę zwróciło pianino. Stała tam figura z brązu, do której przymocowano tabliczkę z napisem: „Od Triny z miłością". Pod spodem dzisiejsza data. Pomyślałem o liście załączonym do „niespodzianki" i stwierdziłem, że oszustwo dobrze było uplanowane. Choćby pierwsze słowo listu: „Kochany" — Trina nie napisała „Kochany Matt". Policjanci mogli więc sądzić, że list był pisany do Gartha i że w paczce mieściła się brązowa figura. Mogliby przypuszczać, że gdy mąż wrócił do domu, najpierw otworzył paczkę, ustawił podarunek na pianinie, a potem udał się do łazienki, aby wziąć prysznic.

A treść listu? Nadzieja nowej przyszłości? Trina mogłaby przysięgać, że ona i Garth mieli nowe plany na przyszłość. Na pewno policja nie uwierzyłaby Mattowi, że znalazł pistolet w paczce. Powiedzieliby, że wszedł do mieszkania z pistoletem, znalazł Gartha w łazience i zabił go.

Za chwilę tu będą policjanci — myślał z przerażeniem. Trick mógł się udać tylko wtedy, gdyby mnie zastali w mieszkaniu. Trina na pewno zatelefonowała do policji: „Chciałam rozmawiać z mężem, ale nie odpowiada. Wiem jednak, że jest w domu. Czy moglibyście wysłać kogoś na kontrolę?" Taki telefon mogła nadać o godzinie 8.10, gdyż była pewna, że zakochany głupiec przyjdzie punktualnie.

Ale jeszcze nie przyszli. Wziąłem się do pracy, byłem przecież niegdyś detektywem. W łazience wytarłem wszystkie moje odciski palców, w pokoju wyczyściłem pistolet i rzuciłem go za tapczan. Włożyłem brązową figurkę do pudełka wraz z papierem i sznurkiem. Wytarłem dobrze stolik w przedpokoju, klamkę w drzwiach mieszkania. Gdy znalazłem się na ulicy, zrozumiałem, dlaczego policjanci jeszcze nie przyszli.

Moja niespodzianka dla Triny leżała na środku jezdni, została potrącona przez auto. Tą niespodzianką miał być Sailor Simmons, którego zaprosiłem do Triny. Myślałem, że się ucieszy. Policjanci zajęli się wypadkiem, to było ważniejsze.

Skręciłem w boczną ulicę i wrzuciłem paczkę z figurą do otworu kanału. Potem udałem się do kolejki podziemnej. Policjanci na pewno będą szukali Matta Cordella, lecz znajdą mnie pijanego, a ja nie będę nawet wiedział, że Garth wrócił. A Trina? Teraz ona musi się tłumaczyć, jak trup męża znalazł się w łazience. Skąd się wziął pistolet za tapczanem. Była zrujnowana tak, jak niegdyś mnie zrujnowała...

Oprac. A. S.

Lewym okiem

URUCHAMIAĆ, CZY NIE?

Telewizja jako środek przekazywania na dowolne odległości ruchomych obrazów to niewątpliwie genialny wynalazek. Telewizja jako środek masowego przekazu, jako nałóg milionów a milionów ludzi, jest w moim mniemaniu wynalazkiem znacznie mniej dobroczynnym, ale to moje prywatne mniemanie, przez życzliwych nazywane także snobizmem a rebours. Podobnym snobem okazał się zresztą także świetny dziennikarz, Dziewanowski, który w „Polityce" stwierdził wyraźnie, że telewizja nie jest mu do szczęścia potrzebna.

Stwierdzenie to padło w ramach ankiety, jaką wśród kilkunastu znanych osobistości przeprowadziła „Polityka" na temat — uruchamiać drugi program, czy nie uruchamiać? Odpowiedzi padły nader ciekawe i nasuwają parę refleksji.

Stanisław Dygat, zwymyślany niedawno od najgorszych za negatywną opinię o jednej telewizyjnej aktorce, jako że opinie mogą być tylko pozytywne lub żadne, wypowiedział się w ankiecie wręcz, że dopóki jeden program jest marny, nie ma sensu wysilać się dodatkowo na drugi podobny. Inni ankieterzy twierdzą jednakże, że dopóki program jest tylko jeden, nie może być dobry ani ambitny, bo jego twórcy stale i wciąż pamiętają, że mają do czynienia z odbiorcą „przeciętnym", a wydaje się, że oceniają go nawet jako nieprzeciętnie przeciętnego. Drugi program — ich zdaniem, a w ogóle zdaniem większości uczestników ankiety — będzie ambitniejszy, będzie obejmował pozycje trudne, adresowane do inteligencji (pani Dziedzic dodaje dla uniknięcia nieporozumień, że chodzi o program dla inteligencji... wrodzonej. Bardzo to ładnie powiedziane!). Oczywiście obydwa programy będą obejmować dużo pozycji rozrywkowych, przy czym powinny być skoordynowane tak, aby się wzajemnie nie pokrywały i tym samym umożliwiały w każdej chwili wybór: jak na jednym odczyt, to na drugim balet; tu sympozjum o sztucznej inseminacji — tam mecz bokserski; tu Dzień Wiertacza — tam rozmowa z literatem, potraktowana oczywiście rozrywkowo.

Już by się wydawało, że to słuszne i oczywiste. Ba, czytamy dalej i znów znajdujemy wypowiedzi, nie pozbawione racji: kiedy będą dwa programy i widz będzie miał w każdej chwili alternatywę — audycja poważna, czy rozrywka, zawsze wybierze rozrywkę. Zawsze tę wersję właśnie mniej ambitną, łatwiejszą, strawną, na niższym poziomie, nie angażującą uwagi. Telewizor musi gadać? Niech więc przynajmniej nie absorbuje, nie zmusza do myślenia! Myśli się w biurze, przy obrabiarce i przy kierownicy. To dosyć!

Inaczej mówiąc: nie dawajmy ludziom możliwości wyboru, bo wybiorą to co gorsze. Mimo wielkich niebezpieczeństw, kryjących się w takim poglądzie, przecież w odniesieniu do telewizji jest w tym niejaka prawda? Przecież nasze programy nie konkurowałyby ze sobą, nie walczyły o poziom i o widza, byłyby koordynowane i to właśnie w oparciu o tę zasadę: ambitny równolegle z popularnym; poważny — ze śmiesznym; mądry — z byle jakim. Można się przy tym obawiać, że ten drugi program, ambitniejszy, spowoduje prawem rekompensaty dalsze obniżenie poziomu tego masowego, przeznaczonego dla „przeciętnych". Przeciętni uprzeciętnią się jeszcze bardziej.

No i klops. Tak źle, i tak niedobrze. Uruchamiać drugi program, czy nie uruchamiać?

Można by złośliwie powiedzieć, że audycje poważne powinny być ponadto nudne i marne, a pozycje rozrywkowe — świetne i pouczające. Wówczas każde przekręcenie gałki, każda rezygnacja z kultury i oświaty na rzecz Stępowskiego i Niemena byłaby jednocześnie podnoszeniem poziomu. Można też pomyśleć, że jakiś tam malutki ułamek procenta telewidzów przez pomyłkę lub ciekawość obejrzy program lepszy, zasmakuje w nim, stopniowo nauczy się odróżniać lepsze od gorszego i przyzwyczai wybierać to lepsze. Bez takiego założenia doprawdy lepiej nie dawać ludziom do wyboru nigdy niczego.

Ale na najbliższą przyszłość widzę tylko jeden skutek podwójnego programu: teraz ludziska wyłączają telewizor, gdy zaczyna się coś, co ich nudzi. A później nie wyłączą, tylko przełączą na drugi program. Jeszcze więcej godzin siedzenia z cielęcym gapieniem się w szklany prostokąt. Jeszcze mniej czasu na wszystko inne.

To byłby mój głos w ankiecie, najciekawszej jaką spotkałem w tym roku.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1056. H-4.